

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 21 LIPCA 1928 ROKU

NR 30

TREŚĆ NUMERU: Służba ojczyźnie — *Z. Zaleska*. Armja najniezszczęśliwszych — *Stefanja Podhorska-Okołów*. Testament zagrożonej drużyny — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Burza”, „Pogrzeb infantki” — *Marja Pawlikowska*. W starym lustrze — *Bronisława Ostrowska*. Willa pod miastem — *M. Morozowicz-Szczepkowska*. Polskie dzieci w portretach *Vigée Lebrun* — *Aurelja Wyleżyńska*. Dusza kobiety — *Gina Lombroso*. Z życia ekranu — *Stef. H.* Kobieta w świecie i w domu — *H. S. i N. J.* Obrazy z historii mody — *Stefanja Zahorska*. Kilka słów o rozmowie towarzyskiej — *Róża Czekajńska-Heymanowa*. Tydzień w Pradze — *Pani Elżbieta*. Mole i króliki — *H. Michalecka*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Dodatek „Mody i roboty”: Praktyczne sukienki — *Well*. Dodatek powieściowy: „Oblubieńcy” — *M. Benisławska*. Arkusz wzorów.

## SŁUŻBA OJCZYŹNIE

Znaczenie zadań, jakie ma do spełnienia kobieta w życiu swego narodu, naogół nie jest doceniane, mimo, że od wpływu jej zależą obyczaje i poziom życia rodzinnego, towarzyskiego, społecznego i politycznego. Z chwilą odzyskania Niepodległości polki uzyskały równouprawnienie tak łatwo, że aż zgubiono orientację, dlaczego tak się stało. Uzyskały je po 2-ch zaledwie delegacjach do tych, którzy dzierżyli władzę. Czyż jest do pomyślenia, by przyszło to bez zasług poprzednich? A jednak wiele osób nie orientuje się w tych przyczynach, upatrując je we „wpływie ducha czasu”.

Tymczasem, patrząc wstecz — w historję — stwierdzić musimy, że kobieta w Polsce miała zawsze stanowisko specjalne, różne od stanowiska kobiet u innych narodów. W Polsce nie do pomyślenia byłby taki książę bawarski, który żonę swą 18 lat więził w więzy za śmiałe wystąpienie przeciw jego okrucieństwu. (Ale też na takie wystąpienie tylko piastowska krew mogła się w Niemczech zdobyć). W naszej Ojczyźnie, biorąc już tylko ściśle historyczne, przez kronikarzy wymieniane postacie, ów rozpoczął przez Dąbrówkę szereg, — widzimy niewiasty, niosące światło wiary, krzewiące oświatę, otaczające opieką klasztory, które były źródłem cywilizacji ówczesnej. Św. Salomea, Jolanta, Św. Kinga, Jadwiga Śląska — nie zatapiały się tylko w życiu wewnętrznym-religijnym: rozumiały chrześcijaństwo, jako misję kulturalno-oświatową.

Dzięki polkom czasów Piastowych, polacy — rycerscy, lecz gwałtowni i życiem materialnym żyjący — nauczyli się czci dla głębin i szczytów ducha, zrozumieli swoją misję na rubieżach Europy: misję strażnicy cywilizacji łacińskiej.

Polki dbały o oświatę w kraju. Jadwiga Jagiellova, z serca własnego czyniąca ofiarę dla dobra dwóch narodów — w testamencie klejnoty swe na Akademię Krakowską zapisuje. Zofka — matka królów — pisze uczony traktat pedagogiczny. Dzięki niewiastom, biegłym w „kunszcie czytania i pisania”, pojawiają się pierwsze w języku polskim biblie i modlitewniki.

Głęboko religijna, współczująca niedoli, mądra matka i troskliwa opiekunka poddanych, rządna gospodyni — zdobywa sobie kobieta polska zaszczytne miano „przyjaciela” męża-rycerza. (Tak ją nazywano w testamentach). Pod jego nieobecność zarządza wielkimi majątkami, a gdy potrzeba — i za broń chwyta, i rycerstwo do boju zagrzać umie. W wiecznej obawie o życie tych najbliższych, którzy krew swą i kości sieli szczerze u kresów Rzeczypospolitej, synów jednak na rycerzy chowa. Spiżowa postać Reginy Żółkiewskiej — to typ polki kresowej.

Słusznie mówią historycy, że opoką, na której była zbudowana Rzeczpospolita, był charakter i cnota niewiasty polskiej.

Gdy zachwiała się w czasach saskich niezłomność jej, zmącił obraz ideału, do którego dążyła —

zachwiały się i podstawy państwa. Lecz nawet w tych czasach upadku mamy jeszcze szereg niewiast, chlubnie zapisanych, jak Anna Potocka, która jedna z pierwszych w dobrach swoich reformę włościańską przeprowadza.

A wnet potem rozpoczyna się odrodzenie: polka wzrasta do wyżyn, na które wznosi tylko poświęcenie siebie dla sprawy narodowej. Zaczęła wiekową walkę o duszę swego narodu. Z domów rodzinnych uczyniła twierdze niezdojbyte, których progę nigdy wróg nie przestąpił. Szła za mężem, czy narzeczonym, w śnieżne pustynie Sybiru. Przekradała się przez kordony. Wędrowała od wsi do wsi z elementarzem polskim, pokrywając kraj siecią tajnych szkółek. Ona, kłamstwa nie znosząca, nauczyła dzieci milczenia wobec siepaczy. Biła nieraz rozpacznie głową u stóp Krzyża, o życie dla syna błagając, lecz śmierć jego przekładała nad odstępstwo. Wróg, ni zdrayca u ogniska domowego nie zasiadł nigdy. Trzeba czytać te pozółkłe karty listów i pamiętników kobiet polskich z lat niewoli, by dziś — w wolnej Ojczyźnie — przypomnieć sobie, jakich nadludzkich poświęceń dokonywały serca polek, — by wiedzieć, jak walczyły o dusze dzieci swych, w obcych szkołach.

I trzeba potem przejść tę galerję działaczek z ostatniego 40-lecia, by wiedzieć, jak zdobywały wiedzę polskie studentki, głodujące na zagranicznych uniwersytetach; z jakim trudem wywalczały sobie stanowiska i praktykę; jak traktowały swój zawód, czyniąc zeń służbę społeczną wśród zabitego deskami od świata społeczeństwa!

I trzeba przypomnieć sobie — któż to stworzył tę całą dziedzinę, którą dziś ma pod swym kierunkiem Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej? Kto zakładał pierwsze ochronki, żłobki, przytulki, pracował w szpitalach, szerzył higienę, walczył z nędzą i ciemnotą? A walka z handlem żywym towarem, a opieka nad więźniami, a kolonie dla dzieci? — wszędzie kobiety. W r. 1895 — pierwsza w świecie organizacja kobiet wiejskich (Stow. Ziemianek). W r. 1905, w czasie t. zw. rewolucji rosyjskiej — pierwsze w miastach porozumienie kobiet z inteligencji dla niesienia pomocy robotnikom podczas strajków i lokautu. A potem — Polska Macierz Szkolna ściąga szeregi sił. Tworzą się kółka matek dla samokształcenia wycho-

wawczego. Organizuje się młodzież żeńska. Tworzą się pierwsze młode kadry tych, które w czasie W. Wojny stanęły do pracy na wszystkich polach: w Komitecie Sanitarnym, Komitecie Opieki nad ludnością, w Komisji Opieki nad dziećmi, w Kole Pracy Kobiet. Nie było dziedziny, w której nie widzianoby zwartej, karnej i ofiarnej organizacji kobiecej. Koło Pań ziemi Mińskiej — dla Krechowieckich ułanów i potem — Korpusu Dowbora; Związek walki czynnej dla rozsianych po całych przestrzeniach Rosji polskich formacyj wojskowych; P. O. W. i Liga Kobiet dla legionistów Piłsudskiego, Związek Polek w Ameryce — dla armji Hallera, — wszędzie, gdzie tylko polak chwycił za broń — stawała pomoc kobiet polskich. A owe emisariuszki nasze Komitetu Narodowego Paryskiego, ś.p. Zofja Sokolnicka, która całe memorjały, napamięć wyuczone, bez żadnej notatki — przewoziła do Szwajcarii, by je w Genewie dyktować wysłańcom Dmowskiego?..

Któż powie, że kobiety polskie nie dorosły do równych praw? one — matki Lwowskich Orłąt!..

Nam tych praw nie dano! Myśmy je sobie same wzięły, wtedy — gdy płaciło się za nie bólem, krzywdą i więzieniem!

My dziś — mówiąc o służbie kobiet dla Ojczyzny — nie występujemy z rewelacjami. Mówimy o tem, co w innych warunkach pełniły nasze matki i babki. Mówimy o tem, co w wiekach przeszłych nadało polkom odrębne, niż w innych państwach, stanowisko, a w odrodzonym państwie przyniosło tylko ustawowe jego uznanie.

Ta nasza Służba Narodowa ma jedną cechę charakterystyczną: nie daje się wtłoczyć w żadne ramy zamknięte, jest żywa i zmienna, jak samo życie. Są chwile, w których jeden jej dział wyrasta nad wszystkie inne i dać mu musimy najlepsze siły. Są chwile inne, gdy siły te muszą być równomiernie rozmieszczone. Decydują o tem zmieniające się warunki naszego życia narodowego.

Dlatego to trzeba co pewien czas czynić rewizję programu pracy, sporządzać trzeźwy, realny plan, dzielić akcję i uzgadniać wysiłki poszczególnych stowarzyszeń.

Wielki czas na nawiązanie ściślejszego porozumienia w tej mierze!

Z. Zaleska.



STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW

## ARMJA NAJNIESZCZĘŚLIWSZYCH

To umysłowo chorzy. Liczba ich na terenie Rzeczypospolitej dosięga przerażającej cyfry 100.000. A dla tej olbrzymiej armji niepoczytalnych, siejących grozę i klęskę wśród rodzin, gmin i wszelkich zbiorowisk ludzkich, skazanych na podwójne męczarnie: własnego stanu psychicznego i brutalności otoczenia, — dla tej armji niema nietylko odrębnego wydziału w jakimś ministerstwie, ale bodaj jednego urzędnika, do któregoby się można zwrócić w ich sprawie. Prawda, istnieją szpitale i zakłady dla obłąkanych. Znajduje w nich pomieszczenie około 10.000 chorych. Reszta, t. j. 90.000, znajduje się dosłownie na Boskiej opiece. Gorzej, bo niejednokrotnie na—ludzkiej. A jak wygląda zbliżona ta opieka, wiedzą dobrze tylko ci, którym udało się dotrzeć do tych komórek, piwnic, chlewków, gdzie latami całemi, w ohydnych brudzie i zaduchu gniją nieszczęśnicy, przykuci łańcuchami do podłogi, zepchnięci na samo dno nędzy i wydziedziczenia, traktowani gorzej, niż bydłeta, bo najmarniejsze bydłę przedstawia dla swego właściciela conajmniej wartość skóry, gdy tymczasem obłąkany, to straszny ciężar dla rodziny, kamień u nogi, wiekusty powód trosk, zatargów, kłótni, skandalów, klęsk.

Iluż to nieszczęść i katastrof źródłem bywa niepoczytalna swawola szaleńca! Podpalania, kalectwa, morderstwa—na porządku dziennym. Zjawiska, które wymagają poważnej i racjonalnej akcji samoobrony. I niemniej tragiczna odwrotna strona medalu: katusze, jakie zdrowi zadają chorym, silni — bezbronnym, choć szkodliwym.

Lekarze naczelnicy w szpitalach dla obłąkanych są niemal codzien świadkami rozdzierających scen. U wrót szpitala staje grupa ludzi, prowadząca skrupowanego powrozami, nieraz łańcuchami, w poszarpanej odzieży, posiniaczonego, pokrwawionego szaleńca. Przybywają czasem z bardzo daleka, gdzieś z Polesia, Wołynia, zapadłej Białorusi. Zebrali ostatnie grosze, aby umieścić chorego w szpitalu. A szpital go przyjąć nie może. Niema miejsca. Więc odchodzą, żując łatwo zrozumiałą gorycz, czasem przekleństwa. Wracają do swoich ognisk rodzinnych ze swą ofiarą, która jest zarazem ich katem, ze skazańcem, nie za własne winy znoszącym wymyślne katusze, od których wyzwoleniem dla niego w tych warunkach może być tylko śmierć.

I pomyśleć, że z 90.000 umysłowo chorych, pozostających „na swobodzie“, przynajmniej 60.000 znajduje się w ostrem stadium choroby, wymagającym bezwzględnej odosobnienia i czujnej pomocy lekarskiej! I że dla tych nędzarzy niema ratunku, że są faktycznie wyjęci z pod prawa, zdani na łaskę i niełaskę najbliższych i swego własnego szaleństwa!

A dzieje się to nie gdzieś w zamierzczym średniowieczu, w epoce uprawnionych tortur i zabiegów inkwizycyjnych, ale w wieku 20-ym, w sto kilkadziesiąt lat po ogłoszeniu praw człowieka, w dobie wrastającego stale humanitaryzmu, kiedy system nowoczesnego więziennictwa raczej poprawę zbrodniarza, niż jego karę ma na celu, — społeczeństwo ciągle przechodzi do porządku dziennego nad plagą umysłowo chorych, mści się nad bezbronnymi najdotkliwszą bronią silniejszego, jaką jest obojętność.

A oto parę wymownych w swej lakonicznej prostocie obrazków, żywcem przepisanych z teki wywiadów Tow. Opieki nad umysłowo chorymi, bo, na szczęście, Towarzystwo takie istnieje.

Posłuchajmy:

Józwiak Marja—lat 18. (Sielce ul. Sułkowska 6 m. 6). Chora od 4 lat, spokojna, cierpi na manję prześladowczą, do pracy nie można jej nakłonić, w ciągłym ruchu. Ojciec, były nauczyciel ludowy, lat 45, zachorował umysłowo pierwszy raz w 1925, r. przebył wtedy 2 miesiące u Jana Bożego; drugi raz w 1928 r. był na kuracji 4 miesiące w Tworkach. Obecnie po całych dniach beczynie leży, nic nie mówi, do pracy nie zdolny. Otrzymuje 200 zł. emerytury.

Rodzina składa się z 8 osób: Rodzice, córka Marja, czworo w wieku szkolnym i jedno — 3 letnie. Zajmują jedną małą izdebkę, w której stoi jedno łóżko, jeden stół i jeden stołek.

Czy to możliwe w społeczeństwie cywilizowanym? W jednej izdebce osiem osób, z tych dwoje obłąkanych! Drobne dzieci, najmłodsze może już dziedzicznie obciążone, wrastające w atmosferze szaleństwa, Zdaje się, że to nie jest prawdą, że to dręczący sen, koszmar chorej wyobraźni.

Przykład drugi:

Kaleszyńska Stefanja, lat 18, (ul. Dobra 20 m. 6). Chora psychicznie od 3 lat. Dwukrotnie była na kuracji u Jana Bożego. Obecnie bywa okresami podniecona, chodzi na porady do kliniki uniwersyteckiej przy szpitalu Jana Bożego.

Rodzina składa się z ojca, syna, trzech córek (2 wdowy i chora Stefanja) i trojga małych dzieci, czyli razem 8 osób. Wszyscy mieszkają w jednej izbie, w której stoją dwa łóżka, jeden stół i jeden stolik. Chora po nocach często nie sypia i nie daje spać domownikom.

Ojciec i syn bezrobotni, cała więc rodzina w okropnej nędzy.

Wybraliśmy z umysłu dwa przykłady, najbardziej może jaskrawe, gdzie choroba łączy się z ostateczną nędzą i bezradnością. Ale dodajmy, że są to fakty sprawdzone tu, na terenie wielkiej Warszawy, gdzie

łatwiej sięgnąć może, jeżeli nie ręka sprawiedliwości, to ręka miłosierdzia. Nie wiemy, co się dzieje na prowincji, w głuchych, zapadłych kątach, gdzie samem słowem „szpital“ przyspiesza się śmierć konającym, a na szaleńca zna się tylko dwa środki: kubel zimnej wody i kaftan bezpieczeństwa.

Nie wiemy, ale powinniśmy wiedzieć, o najnowszych zdobyczach psychjatrii, która człowieka umysłowo chorego nie wykreśla z liczby swych pożytecznych członków społeczeństwa, ale dąży do tego, aby go temu społeczeństwu przywrócić. Błędem jest mniemanie, jakoby mury szpitalne, izolujące umysłowo chorego od ludzi normalnych, były jedynym i najlepszym środkiem leczniczym. Przeciwnie: poza ostrą formą obłąkania, wymagającą opieki szpitalnej i internowania, istnieją całe kategorie chorych, którzy nie tylko mogą, ze względu na bezpieczeństwo ogółu, ale powinni—dla własnego dobra i całkowitego wyliczenia—przebywać w otoczeniu normalnym, pod opieką t. zw. otwartą, czyli pozazakładową.

U nas ta opieka otwarta koncentrować się może w przychodniach (polikliniki), w ośrodkach zdrowia, pozostających pod kierownictwem lekarza-psychjatrii, a obsługiwanych przez fachowe i oddane swemu posłannictwu pielęgniarki. Dobry materiał pielęgniarski jest rzadki i bardzo poszukiwany. W innych zawodach na jedno miejsce zgłaszają się setki kandydatek,—tutaj, nim pielęgniarka ukończy kurs, nieraz po kilka miesięcy czeka na nią gotowa posada.

Jest to jeszcze jeden dowód, jak owa opieka „otwarta“ jest niedostateczna, jak mało ma środków i rąk do pracy. Dużo jeszcze czasu upłynie, zanim cały kraj zostanie pokryty siecią stacyj zdrowia, prowadzących nie tylko akcję leczenia, ale zapobiegania t. zw. chorobom społecznym, t. j. takim, które zagrażają istnieniu rasy ludzkiej, w sposób fatalny odbijając się na przyszłych pokoleniach.

Dalekim jest jeszcze dzień, w którym owe 90.000 luzem chodzących, albo okrutnie więzionych obłąka-



Przedstawienie w szpitalu Św. Jana Bożego z udziałem chorych.

nych — zostanie skupione w odpowiednio urządzonych kolonjach, przy warsztatach pracy, w atmosferze, która, jeżeli nawet nie usunie zupełnie ich cierpień, to przynajmniej je złagodzi, jak to widzimy w racjonalnie prowadzonych szpitalach św. Jana Bożego w Warszawie, w Drewnicy, w Kochanówce itd.

A tymczasem, zanim to się stanie, czyż mamy opuścić ręce i patrzeć obojętnie na to, jak tysiące naszych bliźnich toną w najokropniejszej otchłani, jaką jest niepoczytalność? Istnieją Towarzystwa ratowania tonących. Działalność ich jest chwalebna i godna podziwu. Ratują życie ludzkie, ratują bezradne ciała, zdane na pastwę żywiołu. Towarzystwo Opieki nad umysłowo chorymi postawiło sobie za zadanie ratować dusze ludzkie, dusze, zabłąkane w mrokach szaleństwa.

I aby akcja jego stała się akcją ogólnopolską, tą drogą apeluje do serc kobiet naszych. Chodzi o pomoc czynną, o udział osobisty w pracach Towarzystwa, o robienie wywiadów, o odwiedzanie chorych i ich rodzin, o łagodzenie losu jednych i drugich, jednako nieszczęśliwych i potrzebujących nie tylko materialnej pomocy, ale i moralnego oparcia.

Na tem właśnie polega owa „opieka społeczna“, która zastąpić musi nieistniejącą jeszcze opiekę państwową. Rzecz prosta, do tej pracy nadają się jedynie osoby o silnych nerwach, nieprzeczulone, posiadające duże zasoby wrodzonej energii i pogody, i mogące temi zasobami dzielić się ze światem wydziedziczonych. Nie każda psychika znosi bezkarnie zetknięcie z chorymi umysłowo. Trzeba to także rozważyć, zanim się zgłosi swój udział w pracach Towarzystwa. Ale kto ma nerwy zdrowe, dobrą wolę i trochę wolnego czasu,—niech osobiście przyłoży cegiełkę do tej wielkiej, humanitarnej i chrześcijańskiej budowy.

Zgłoszenia przyjmuje siedziba Towarzystwa w mieszkaniu pp. Podlewskich, Górnośląska 22, telefon 165 04 — od 10<sup>00</sup>— 12.



W szpitalu Św. Jana Bożego: Pracownia kobieca.

M. H. SZPYRKÓWNA

## TESTAMENT ZAGROŻONEJ DRUŻYNY

Dziwnem i prawdopodobnie nieszczęśliwem nastawieniem myśli, zawsze muszę każdą radosną, miłą i bliską uroczystość łączyć w płaszczyznach niewidzialnych z jakąś daleką i raczej żalną! Urodziłam się wewnątrz na płaczkę, i tylko wielkim opanowaniem woli i zrozumieniem, że bliźni sam ma dość łkania wewnętrznego na rozmaite tematy życiowe: tylko dzięki temu mam miejscami humor, nawet dość wybitnie w moich utworach podkreślany, i jako tako wynagradzający łezkę wewnętrzną.

Jednakowoż łezka ta, jawniejsza, lub bardziej tajna — jest. I tylko czyha na sposobność, aby się przy tej lub owej okoliczności przejawić w całej swojej wilgotnej melancholji.

Obecnie terenem moich ostatnich melancholijnych rozważań — niech się nikt nie śmieje! jest zlot skautowski, jaki się odbywał pod Wyszkowem, nad Bugiem.

Byłam tam sama, pewnego bardzo pięknego jak na obecne lato, popołudnia, kiedy jeszcze dopiero się urządzały namioty i dekoracje. Kiedy ten artykuł się ukáže, może będzie już po Zjeździe? W każdym razie echa jego dotrą może, do kogo należy. Bo sędzę jednak, że nic nie ginie naprawdę i wcześniej czy później drogę swoją znajdzie do wskazanych miejsc i ludzi.

Harcerstwo — to nasze najmłodsze i ukochane polskie dziecko. Strasznie naszych małych skautów kochamy, ogromnie się z naszych małych skautek cieszymy! Lilijska i hasło: — „Czuwaj!“ znalazły oddźwięk w każdym lepszym sercu polskiem. Urządza im się obchody i zloty, biorą w tem udział reprezentacje miejskie i stowarzyszenia. I tak należy, i tak być powinno! I bynajmniej nie tego mi żal, i bynajmniej nie o tem pisaćbym chciała, tylko tak jakoś się oto ułożył początek.

Chciałam pisać o innych skautach, też polskich. Ale — dalekich. Gdzieś aż na pograniczu Chin, gdzieś aż w Charbinie. Wpobliżu egzotycznego kraju, gdzie to... „pod wielką górą Ming, w ziemi Ping, w środku wioski Wing mieszkał mały chłopiec Tsing-Ling-Ping...“ A może — i nawet zresztą napewno — wszystkie te nazwy brzmiały odwrotnie, i dźwięczne sylaby przedstawiałam w sposób niegodny?... Możliwe! Bo nie o dźwięk w tej chwili mi idzie, tylko o inny szczegół tej egzotycznej miejscowości o ptasich przyspiewach: o to, że tam, na Dalekim Wschodzie — tam, gdzie już nawet ptaki śpiewają inaczej: że tam także

żyją polscy skauci. I, biedacy! jakążby szaloną radością, jakążby wielką dźwignią i otuchą było dla nich móc jednym bodaj oczkiem, przez niewidziany telewizor przyszłości, spojrzeć na taki zlot pod Wyszkowem! Na taki oto polski las, na białe namioty rozrzucone po szarozielonym podścielisku, na tłum wesołych, szczęśliwych, dopatrzonych i obstawionych wszelkim możliwym na skautingu komfortem swoich towarzyszy i towarzyszek z dalekiej ojczyzny! Oni, dla których sztandar polski jest zawsze tylko symbolem ziemi, nigdy niewidzianej, na której nigdy nie mieli szczęścia rozbić namiotów, jakkolwiek je rozbijają pod wielką, pod egzotyczną, pod nieznaną polskim skautom górą Ming!..

Mam powód, dla którego myślę o nich z rzewnością i nie bez melancholji. Miałam w ręku, parę miesięcy temu, książkę o polakach na Dalekim Wschodzie. Ciekawa, naprawdę źródłowa książka, gdzie jest bodaj o wszystkim, cokolwiek polaków, rzuconych na daleki Wschód, i rozwoju kolonji dotyczy — wszystkie wybitne, bolesne i radosne momenty ich życia. A przede wszystkim — ciągłość ich szarej, powszedniej, zaiste mrówczej pracy, którą dźwigają tam, na dalekich rubieżach — Polskę — w szkole i ochronce, w kościele i sokolstwie. W dobroczynności polskiej i obchodach polskich. I, naturalnie, w skautingu polskim.

Niestety! nie mam jej dziś już pod ręką i nie wiem, czybym szybko wyszukać zdołała. Więc już tylko z pamięci mogę mniej więcej przytoczyć, o co szło — i niech mi nieściskość treści i ci, którzy pisali, i ci, dla których ja piszę dziś — w imię dobrej sprawy wybaczą. Najważniejsze zapamiętałam — i tem chcę się podzielić z czytelnikami.

Otóż skauting i tam najpierw — istniał, a potem, w czasie napływu wojennego ludzi z Polski, napływu, nad wyraz dla tamtejszej kolonji ożywczego i dodatniego, nagle nietylko wzmógł się, ale osiągnął rozkwit niebywały. Niestety wraz z końcem wojny zmieniło się daleko na gorsze, bo nietylko uchodźcy wojenni wracali do Polski, ale i wiele miejscowych, oddawna osiadłych na Wschodzie rodzin zabrało ze sobą powojenne ruszenie narodów. Oddział Charbiński zmałał, skurczył się — zatracił. Pozostał na mieliźnie po odpłynięciu radosnej fali, powracającej do Polski.

I wtedy to — niewiem, kiedy, niewiem kto, niewiem — jak? Ale zapewne w czasie niezliczonych przepływów i cofnięć sił wojennych przez miasta i wsie,

podczas zamykań i likwidacji wielu placówek i ha-seł—zaszedł fakt, dopiero potem wykryty i na światło dzienne wyniesiony drukiem w owej właśnie książce syberyjskiej, która mi trafiła do rąk. Dość, że w głównem centrum życia polonji charbińskiej, która gościła i gości u siebie różne instytucje i zrzeszenia: w szafie zamkniętej i zapieczętowanej, władze polskie, które w tym poszczególnym wypadku miały odnośne kompetencje, znalazły, zdjawszy pieczęcie i otwarłszy szafę, dokument, który—nie wiem, jak komu—ale mnie wydał się dokumentem naprawdę historycznym. Był to papier, dołączony do sztandaru skautowskiego i odpowiednich insygnjów, ostatecznie zlecenie odchodzących, który się zaczynał, jak dziś pamiętam, od słów:

— T e s t a m e n t żywych, żywym przekazywany— (chodziło o odchodzące wtedy polskie wojska, czy grupy, które nie wiedziały jak się po ich odejściu sprawy polonji charbińskiej ukonstytuują.)

Testament żywych! Słowa te uderzyły mię samem zestawieniem. Jakąż to sprawę żywi tak bardzo wzięli sobie do serca, że ją przekazywali aż drogą testamentalną? I kimże byli ci, do których się zwracali?

Przeczytałam raz i drugi ów przedziwny „testament“. I zrozumiałam. Przekazywali—oni, odchodzący w nieświadomość, bojownicy dnia wczorajszego—im: nieświadomym bojownikom jutra. Przekazywali—umarły sztandar polskiego skautingu na Dalekim Wschodzie.

Nie pamiętam, a więc przez samo poszanowanie sprawy nie chcę zniekształcać słów, w jakich to czynili. Wiem tylko, że zwracali się do przyszłych harcerzy polskich, którzy—w to jedno tylko wierzyli!—znowu się skupią, zjednoczą i utworzą drużynę: z ostatnimi swemi przykazaniami o czci, sztandarowi należnej. I że, chcąc uchronić osierocony po rozpierchłej pod wichrem wojny drużynie sztandar, składają go oto, jak skarb nad skarbami, w żelaznym depozycie, pod pieczęciami i z testamentem, który tylko prawi następcy podjąć będą w prawie. I osobne paragrafy głosiły, kiedy, jak i przy jakiej ilości i jakości harcerskiego zastępu pieczęcie ze sztandaru będą mo-

gły spaść—i wolna chorągiew zawionie znowu nad zastępem naszych najdalszych, małych bojowników ojczyzny.

I stało się: po latach, otwarto szafę, zdjęto pieczęcie i odzyskany sztandar wręczono młodej drużynie, która się w Charbinie utworzyła. Widocznie musiała uczynić zadość wymaganiom testamentu, skoro starszyzna Gospody jej go wręczyła. I istnieje dotąd, wiemy o tem z relacji. Ale—jak? Jak łatwo—a raczej jak trudno przychodzi im, dalekim wygnańcom, istnienie tam, gdzie są, jak liście, oderwane od drzewa, na łasce obcego wichru! I coby mogli, coby powinni zrobić ich bracia i siostry—nasi polscy, tutejsi harcerze—aby dalekie i trudne ich istnienie uczynić lżejszem—milszem, bardziej związanem z ojczyzną i jej życiem w dziedzinie, jaka skautingu dotyczy?

Nie mojej to władzy jest sprawą—dyktować. Ale sprawą mego serca jest—przypomnieć! Małe siostry, któreście się zgromadziły tu, w Polsce, nad słonecznym Bugiem: pomyślcie o tem! pomyślcie o dalekich harcerzykach z pod granic obcego kraju, o obozie z pod wielkiej góry Ming, z wioski Ping, w egzotycznym, niewiadomem chińskim osiedlu Tsing - Wing - Ling!... Tam nie mieszka mały chłopiec Sing, jak chce bajka: tam mieszka mały chłopiec Staś, i Jaś, i Kazio—tam mieszkają Zosie i Baśki, Iruśki i Jadzie. Niech każde z was, do których przez rodziców i starszych dotrą te słowa: weźmie arkusz papieru, albo ładną polską pocztówkę, albo kilka zdjęć obozowych (najlepiej!), albo rezolucję, jakieście na zlocie powzięły: i napisze do Charbina (Via Siberia—Mandżuria) do Gospody polskiej, dla drużyny skautowskiej w Charbinie!

Opisze swoje wrażenia, zapyta o ich życie na Dalekim Wschodzie—nawiąże kontakt z dalekim towarzyszem, stanie się łukiem wysokiej tęczy, przerzuconej z Polski na chmurną obczyznę. Hasłem waszem jest: — „Czuwaj!“ Nieprawdaż? A nad kimże więcej czuwać powinniście, jak nie nad tymi, którzy są najbardziej samotni i najbardziej dalecy?... A więc—czuwajcie!...



MARJA PAWLIKOWSKA

## BURZA

Sine, dymne  
z cegląstą poświatą,  
przędąc chmury, jak pośpieszną grzybnię,  
leci gniewne, rozjuszone lato,  
piorunami grożące niechybnie.  
Już jaśminem  
po ziemi  
zamiata —  
już z drzewami  
mocuje się zbliska,  
już gazetę śle na koniec świata,  
już mi w sercu, śniętem sercu,  
błyska.  
Nie hamujcie burzy,

pięknej burzy,  
modlitwami,  
krzykiem nienawiści!  
posłuchajcie opowieści liści:  
jak liściowi liść szaleństwo wróży...  
Nawałnicę, burzliwą kotarę  
rzucicie na mnie,  
na gasnącą świecę!  
Niech się wszystko zakończy pożarem,  
niech mnie z ziemi  
jak wiedźmę wyświeca!  
Śnięte serce  
śnięte serce moje,  
niech uzdrowią cię te niepokoje...

## POGRZEB INFANTKI

W czarnych kapach, żując wędzidła,  
idą wichry uciszone przed trumną,  
kołysaną na wozie,  
dumną,  
kutą w złocie,  
obrzydłą...  
Hamulec zgrzyta.  
Skrzypią dźwięczne szprychy  
wśród wqwozów hiszpańskich kamiennych i cichych...  
Chcą wyskrzypiec wszystko i nie mogą...  
Infantka ma twarz tak bladą!  
Wichry idą, noga za nogą —  
IDOS, IDOS, VIENTOS ALADOS!

Idźcie zwolna, wichry skrzydlate!  
infantka nie wstanie zimą, ani latem!  
Czy jej na imię MIŁOŚĆ,  
czy SOL,  
czy ELWIRA,  
to obojętne dzisiaj,  
gdy ją w trumnę kładą,  
gdy upadła na wieki,  
zaplątana w kirach.  
IDOS, IDOS EN PAZ, VIENTOS ALADOS!\*)

\*) Po hiszpańsku. Znaczą: „Idźcie, idźcie w spokoju,  
wichry skrzydlate!”



BRONISŁAWA OSTROWSKA

## W STAREM LUSTRZE

W SEJNEŃSKIM DWORKU

Do mego wuja jeździło się na każde wakacje i święta. Mieszkał w zapadłym żydowskim miasteczku na Litwie, gdzie nie było kolei, biblioteki, szkoły średniej, ale była siedziba biskupia i wielkie seminarjum duchowne. Obok czarnych chałatów żydowskich, nieskończone procesje kleryków w czarnych kapeluszach i sutannach nadawały miasteczku jemu tylko właściwy, specyficzny charakter. W obramieniu mrocznego lasu i porośłego świerkami cementarza, pod okiem potrójnego jeziora, patrzącego z bagnistych łąk, miasteczko zdawało się roić od dziwnych, czarnych, dwugatunkowych ptaków, z których jedne, swarliwe, gnieździły się w małych, wszędzie rozrzuconych budowlach, drugie — uroczyste i milczące — w wielkim, ciemnym gnieździe pod dwiema wieżami.

Miasteczko leżało o 10 mil od kolei. Sama jechała była już niesłychaną radością. Na stacji w Grodnie witał mnie, wysiadającą z wagonu, najczęściej stary, brodaty woźnica, wyrażający za każdym razem zachwyt, że tak urosłam. Gdyby wrażenia jego były oparte na rzeczywistym stanie rzeczy, wzrost mój dzisiaj mógłby się równać z pewnością z najwyższą wieżą sejneńskiego kościoła. Na szczęście, była to czysto subiektywna przesada. Wręczał koszyk z pokrywą, gdzie znajdowała zawiniętą w niepokalaną serwetę kurę pieczoną, wędliny, nieskończoność pierożków i ciastek, herbatę, cukier w pudełku, oraz konieczną dla rozgrzewki butelkę litewskiego krupniku. Wszystko było artystycznie ułożone, smakowite i obfite — i wprowadzało odrazu w nastrój zwanego śniegiem domu ze staroświeckimi doniczkami kwiatów w oknach. Widziałam szykującą ten koszyk na wielkim dębowym kredensie małą, suchą staruszkę z czarną koronką na głowie i w czarnych mitenkach na rękach, zaferowaną, że nie wszystko się zmieści, i czy aby Broneczka nie będzie głodna... I wuja, uspokajającego obawy teściowej z rozłożonych na stole starych pasjansowych kart, pod portretami dziadków w dziwnych, stylowych strojach. I obejmował mnie odrazu specjalny, miejscowy patriotyzm, każący zapomnieć doszczętnie o absorbujących mnie aż do tej chwili sprawach szkoły, miasta, domu. Po posiłku zjeżdżało się w wielkiej, w trzy lub cztery konie zaprzężonej arce na kołach, czy płozach, stosownie do pory roku, z wysokiego brzegu i, przebywszy promem wartki, błękitny Niemen, puszczało się w nieskończoną, kołyszącą, jak stara bajka, drogę do Sejn. Och, te popasy sopocińskie i kapciowskie z syczącym samowarem, upstrzonymi oleodrukami na ścianach, z grzanymi futrami i rozczulającą, bezinte-

resowną zyczliwością ludzką! Późnym wieczorem otwierały się drzwi oszklonego, zapadłego ganku, i atmosfera, pełna pocałunków i uzaleń nad zmęczeniem podróżnych, ciepła i brzęku naczyń — ogarniała rozkołysaną głowę. A potem — świeża, pachnąca ziołami pościel, kot-pieszczochoch w nogach łóżka; obudzenie białym rankiem, świtającym przez wycięte serduszka okiennic; pieśczoła drobnej ręki w jedwabnej mitence, kawa z kozuszką, dzieńdobry w kancelarii wuja i już potoczne, normalne koło parotygodniowego rozkosznego wypoczynku. Zaczynała się wizyta w pokoju pani Hipolitowej. Nigdzie na świecie nie widziałam kąta, pełnego tak osobliwych pamiątek. Nawet kwiatów takich, jak tam, nie widywało się nigdzieindziej. Nieskończona ilość najdziwniejszych kaktusów i jedyny, autentyczny, purpurowo kwitnący cień Chrystusowy; woskowiec o drobnych, jakby istotnie z wosku ulepionych kwiatkach; doniczka żółtego piżma dla zapachu i, królująca nad wszystkim, na drewnianej drabince rozpięta — passiflora, czyli męczennica. A na serwantce — jakież bukiety z włosów, rzeźby z chleba, kreda święcona, różańce z Ziemi Świętej, figurynki sewrskie, nieśmiertelniki!..

Stamtąd, przez kuchnię, z królującą tam starą Agatą i młodą Agatką (nigdy nie zrozumieję obfitości imienia Agaty w Sejnach), wędrowało się do właściwego laboratorium i świątyni domowej — do spiżarni. Był to wielki, parookienny pokój o mnóstwie szczelnie zastawionych stołów, półek i stołków. Pani Hipolitowa spędzała tam większą część dnia, a nierzadko spotykało się tam i mego wuja, jak z przechyloną wtył łysiną, przymrużając swe dziecięco-błękitne oczy, badał stan kosztownych, słynnych szeroko poza Sejny, butli i gąsiorów. Przez blade szkła świeciły nieprawdopodobną intensywnością i czystością barwy owocowe nalewki, kordjały i przetwory. Płynne złoto nad dobranymi kulami moreli, rubinowe słoje napęczniałych wisien, liljowe tarki, rude jarzębiny, śliwy fioletowe i najgłębszy, prawie szafirowy fiolet czarnej jagody. Jak alchemiczna pracownia, albo uczta z Sezamowych skarbów, świeciły konfitury, soki i krupniki, cedzone, przelewane, przenieszone z cienia na słońce, a ze słońca w cień, wedle najniezawodniejszych, dziś nieistniejących, recept p. Hipolitowej. Wszystko szykowane na wielkie dnie triumfów, kiedy nad długim, iskrzącym kryształami na śnieżnym obrusie, stołem — zasiądzie wielkie stado uroczystych, czarnych ptaków, nie milczących już, ani ponurych w te chwile, ale gwarzących głośno przy kie-



lichach pełnych rubinów i złota. Okrągłe, opasłe, jowialne, albo senne twarze rozjaśniały się wtedy najradośniejszymi z uśmiechów; łysina wuja świeciła różowo i dumnie, pochyłona nad krzesłami gości, a maleńka staruszka na honorowym miejscu śledziła bystre, czarnymi oczami, czy nie dostrzeże w swoim arcydziele jakiejś, najnieznaczniejszej choćby, usterki. I zdziwiłam się, kiedy na ostatniej z uczt zobaczyłam w tych oczach wyraźną łzę. A przecież wszystko było bez zarzutu: i bukiety tortów, i kolejność półmisków, i sprawność Agatki. Nie zapomniałam nazajutrz zapytać o przyczynę niezrozumiałego smutku. Otrzymałam nadspodziewanie szczerą odpowiedź:

— Wiesz, kochanko, że wuj twój żeni się po wtórnie? Sama tego pragnęłam najwięcej i kocham jego przyszłą żonę, jak własne dziecko. Ale panna Jadwiga jest wolnomyślna. I potem wszystko tu będzie inaczej.

Tak, nie myliła się pani Hipolitowa: istotnie — potem wszystko było inaczej. Panna Jadwiga butle i gąsiory na półkach zastąpiła wielkimi tomami książek i rozegnała precz stado uroczystych, czarnych ptaków, które też później bezlitośnie ją zadziobały. Ale to już bajka inna: ponura, jak noc, i nie mająca

nic wspólnego z dziejami małego domku, pełnego owocowych klejnotów. Dzieje jego kończą się w mej pamięci w pewien pogodny ranek jesienny, kiedy przed ostatecznym opuszczeniem domu mego wuja pani Hipolitowa, razem z zaproszonymi siostrami, wyruszyła ostatni raz na pielgrzymkę do swych rodzinnych stron i grobów w Augustowskim. Do olbrzymiej, trzykonnej arki, otwartej w ten słoneczny dzień, z tym samym starym brodatym żydem na koźle, wsiadły trzy staruszki w staroświeckich mantylach i dżetowych, wiązanych pod brodą, kapeluszach. Obok mnóstwa pudełek, paczek i koszyczków, każda trzymała duży wianek z nieśmiertelników, przygotowany do złożenia na żegnanym grobie. Całe wnętrze powozu szeleściło suchymi, bladymi kwiatami. Drobne postacie staruszek tonęły w tych syczących, wypełzłych z barw girlandach.

W pewnej chwili arka zakołysała się i trzy drobne ręce w czarnych mitenkach nazaczyły w błękitnym powietrzu pożegnalny znak krzyża. W tumanie złotego kurzu powóz potoczył się i znikł na zakręcie, aby za chwilę pokazać się raz jeszcze, daleko już, na tle zalanych słońcem gotyckich świerków, grodzących widnokraj cmentarza.

M. MOROZOWICZ-SZCZEPKOWSKA

## WILLA POD MIASTEM

(n o w e l a)

Willa nazywała się „Sonata”.

Ścisłe biorąc, willa niezupełnie zasługiwała na nazwę willi. Był to skromny drewniak, przypominający drewnię, pokryty dachówką, o wyglądzie głupkowatym, bez żadnej wyraźnej fizjognomji.

Obok willi w niedalekiej perspektywie stał budynek mniejszy. Mianowano go „stróżówką”, zamieszkiwał ją bowiem człowiek, zwany popularnie stróżem, co znaczyło mianowicie, iż jest to analfabeta, który nic nie umie, a musi udawać, że wszystko potrafi.

Działka lasu, zajęta przez „Sonatę”, była półmorgowa, otoczona drutem kolczastym; u wejścia zaś na terytorjum, od frontu, stały dwa słupy, zakończone daszkiem, pod którym brzmiał uroczyste czarny napis na białej desce: „Willa Sonata.”

Zagadkę nazwy rozwiązywał ten, kogo dopuszczono do wnętrza. Wnętrze to, bowiem, posiadało panią domu, która była muzykalną, oraz sprzęt, uzupełniający panią—fortepian. Niezawodnie pani grywała sonaty i w natchnieniu dom swój tem mianem ochrzciła. Zdawała się zresztą być z domu swego zupełnie zadowoloną. Wnętrze było nawet ładne.

Wysłane dywanami, popstrzone obrazkami—posiadało kilka ładnych sprzętów, dużo nut, nawet półkę z książkami. Wnętrze to nie licowało z zewnętrzną stroną willi, lecz wtajemniczeni opowiadali, że otrzymana przez panią scheda dała możliwość wybudowania takiej tylko willi.

Właściciele czuli się w niej zupełnie szczęśliwi.

Po okropnych wstrząsach wojny, po zamieszkiwaniu brudnych, wilgotnych pokojów w warszawskiej oficy—odetchnęli pełną piersią i radosną ulgą w dużych, słonecznych pokojach „Sonaty”; rozkoszowali się widokiem rudych w zachodzącym słońcu pni sosnowych, w zmęczone wyziewami miasta płuca nabierali szeroko żywicznego, świeżego powietrza. Stąd zapewne z wdzięcznych serc spłynęła na prosty drewniak poetyczna nazwa.

— Pomyśl tylko, Beneczku, że ten las jest nasz!—mówiła pani, zataczając ręką krąg półmorgowej posiadłości—i powietrze jest nasze, i niebo jest nasze!

— I komary są nasze!—rzucił Beneczek, rozgniatając na policzku natrętą komarzycę (wiadomo, że tylko komarzyce pijają krew ludzką—panowie są abstynenci.)

— A cóż tam w ogródku?—dopytywał małżonek. I z wielką, skupioną powagą stawali nad kilkunasto-łokciowym kawałkiem ziemi, starannie skopanym, pociętym równo na wąziutkie paseczki, na których posiane były: ogórki, rzodkiewka, marchew, pietruszka, cebula—jak to opiewały powtykane patyczki, dzierzące w rozszczępieniu kartki z wyżej wymienionymi nazwami.

Marchew przeważnie nie wschodziła; rzodkiewki, sparciałe i łykowate, nie nadawały się do użytku, cebula, ukryta w łonie chudego piasku, zasychała, ani myśląc o kiełkowaniu. Ogórki zaś, ku radości właścicieli, puszczały trochę liści i robiły kwiatek, który pod jesień zamieniał się w maleńki korniszonek.

A raz nawet zdarzyło się, że po mozolnem, kilkumiesięcznem osypywaniu i polewaniu, wyrósł ogórek, grubości dwóch palców i długości dziesięciu centymetrów.

Rozentuzjasmowany właściciel nie jadł go: zawiózł do biura i imponował nim kolegom, którzy od tego dnia, w skrytości serc, oddawali się marzeniom o posiadaniu własnej willi i ogrodu.

Było również dwanaście drzew owocowych, z których jedno, po czteroletniem bytowaniu, dało osiemnaście prawdziwych, świeżych, białych z różowym policzkiem—czereśni.

— Zaczynają rodzić więc na przyszły rok dadzą kilo: potem dziesięć, i t. d., i t. d., i t. d. — majaczyli radośnie właściciele, widząc w wyobraźni wozy, zajeżdżające przed willę, kosze, napełnione „towarem“, wywożone na rynek do miasta.

— Dokupimy działkę i założymy duży sad!

— Na piaskach, panie dziedzicu, to nie pójdzie...

— Dużo wy tam wiecie, mój Janie!—odał wargi „pan dziedzic“.

— Widzieliście moje książki—dorzuciła pani—czytałam w nich, że ogrody warto sadzić tylko na piaskach!

— Już ja ta wolę rolę, gront, za przeproszeniem państwa. Na groncie wszystko urośnie: i ziarno, i kartofle i owoc a tu pioch i pioch! nawóz, a odda ciż telo, co za paznogciem, albo i nic, jak u nas, nieprzymierzając.

— Głupi chłop!—myślała urażona pani i wracała do willi, aby się oddać egzekutowaniu sonat, preludjów i koncertów. Pan jechał do biura i zwierzał się kolegom ze swoich planów na przyszłość.

Razu wreszcie pewnego, było to letnie popołudnie, do pani doszedł niezwykle poważnie brzmiący głos męża, przemawiającego do małżonki Jana vel Janowej, przypalającej właśnie kotlety.

— To jest rasowy pies, ma swoją metrykę i musi być dobrze traktowany...

Wygłaszając to zdanie, podniósł palec prawej ręki w górę, na poziom nosa, w lewej zaś ręce dzierzył smycz, na której krótko trzymany stał wyżeł i bez zainteresowania wpatrywał się w kafle pieca kuchennego, na którym gziły się w lotnych zalotach muchy.

— Kupiłem wyżła—zwrócił się do żony—patrz, jaki piękny! jest czystej krwi gryfon, dwa razy odznaczony złotym, trzy razy—srebrnym medalem. Za samo pokrycie tym pieskiem kapitan Fujar brał sto złotych...!

— Na co ci wyżeł?

— Jakto?... na polowaniu!

— Przecież ty nie jesteś myśliwym!

— No, to będę myśliwym!... Nie święci garnki lepią... Kupiłem go za psie pieniądze!... Dalem gotówką tylko sześćset złotych...

— Sześćset złotych!...—wykrztusiła pani.

— Cena tego psa, dwa tysiące. Kapitan Fujar sprzedał mi go za tysiąc trzysta. Na dwie raty. No, chodź, piesku, chodź... Nie bój się go, wyżeł nie gryzą.

Pani nie mogła ochłonąć ze zdumienia. Pies... Weksel... Polowanie... Tak nagle, nieoczekiwanie...

— Nic mi o swoich zamiarach nie wspominałeś!...

— Polowanie, to męska rzecz...

Zasiedli do obiadu, w czasie którego Beneczek albo chwalił niezwykle talenty gryfona, albo krzyczał podniesionym głosem:

— Leżeć! marsz! tam leżeć!—i wskazywał psu miejsce w rogu pokoju; pies kładł się na wskazanem miejscu, jednak po chwili z żelazną logiką podpełzał pod stół, aby jak najbliżej sycić powonienie rozkosznymi zapachami.

— Leżeć! marsz! tam leżeć!—pokrzykiwał Benio, mówiąc jednocześnie do żony:

— Świetnie tresowane bydło!

— Niechże wreszcie poleży trochę pod stołem! musi się przecież przywiązać do nowego pana... Nol leż! leż!—cieszył się, że może nareszcie ustąpić psu.

— Widzisz, jaki grzeczny, wcale się nie upomina o żarcie... zaraz dostaniesz pieseczku, zaraz—mówił pod stół.

O nawiązaniu rozmowy na inny temat narazie nie można było marzyć.

Przy kompocie pani krzyknęła, pochyliwszy się nisko:

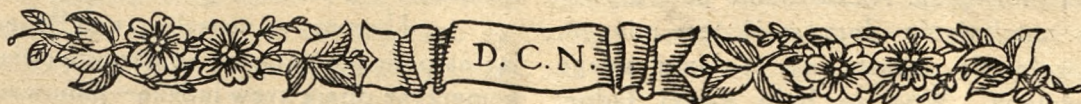
— Co? co? ugryzł cię?!

— Nie, pchła!

— To niemożliwe! kapitan Fujar cesał go codziennie; a zresztą, wiem napewno, że pies zbiera pchły z całego domu.

— Ależ, mój drogi! u nas nigdy nie było pcheł...

— No, to ci się zdawało...



AURELJA WYLEŻYŃSKA

## POLSKIE DZIECI W PORTRETACH VIGÉE LEBRUN

Typ fizyczny danego narodu, jak zresztą i ideał piękna, zmienia się zależnie od epoki; wpływają na to zarówno warunki życia, jak też i moda. Wilde mówił, że życie naśladuje sztukę, i że skoro sztuka jakiś sobie ideał określiła, wsiąka on w życie i rzeczywistość daje wymarzony przez artystów typ. Wzajemne działanie na siebie sztuki i życia jest niezawodnie olbrzymie, ale jest ono bardziej skomplikowane, niż sądził autor Dorjana Grey'a.

W świeżo przez Jerzego Mycielskiego i Stanisława Wasylewskiego opracowanych „Polskich portretach Vigée Lebrun“, \*) wydanych wspaniale, a co do treści—bogaty i piękny, jak o tem same nazwiska autorów świadczą, mamy całą kolekcję portretów noblessy polskiej z czasów Stanisławowskich. Szczególnie wiele kobiet. Pomimo, że te damy malowane były przez artystkę francuską, że są na modłę ówczesnej sztuki kształtowane i że, jak to widać z ich strojów, są uległymi niewolnicami paryskich krawców, —

posiadają pewne cechy charakterystyczne, odróżniające je od innych modeli tejże artystki.

Jest to tem ciekawsze, że panie te pochodzą z jednej i tej samej warstwy społecznej, z arystokracji lub bogatej szlachty, a więc skłonnej do wynarodowienia się, do kosmopolityzmu i podatnej obcym wpływom. A pomimo wszystko, są to polki. Na pochwałę Vigée Lebrun trzeba powiedzieć, że umiała ocenić ich odrębność, ich wdzięk, i dlatego słusznie nazywa ją Stanisław Wasylewski „poetką uroku kobiety polskiej“

Malarka i przyjaciółka nieszczęśliwej królowej Marji Antoniny nigdy w Polsce nie była, a te zgorą dwa tuziny portretów zrobiła bądź w Paryżu, bądź w czasie swych wędrówek po Europie, gdy opuściła Francję z niechęci dla rewolucji, w obawie (niesłusznej zresztą) „zemsty ludu“.

Typ polski o wiele więcej jeszcze, niż w dorosłych, uwydatnia się w młodziutkich dziewczynach, a szczególnie w dzieciach, które, rzecz naturalna, w prostocie swej zachowały więcej charakteru rodzimego, nietknięte były bowiem przez kaprysy stroju.

Charakter ten artystka tembardziej uchwycić potrafiła, iż należała ona do rzadkich w tej epoce twórców, którzy na dzieci patrzyli oczyma realnemi, nie zaś wedle szablonu, jaki nałożyła moda. Wynikało to z tego, iż była matką wedle zasad Rousseau, choć bez jego wpływu i że miała wciąż przy sobie swoją śliczną Brunette, którą tuliła do siebie nie tylko na portrecie. W życiu codziennem była wzorową i kochającą matką. Dzięki temu i na inne dzieci patrzyła z miłością i zainteresowaniem, jak jedynie kobiety, obdarzone macierzyńskim instynktem, czynić potrafią. Zrobiła ona siedem portretów polskich dzieci, portretów bardzo pięknych, które są nam specjalnie drogie, jako zabytek przeszłości i jako coś bardzo bliskiego, gdyż w nich widzimy trwałość typu dzieci polskich.

Pierwsze dziecko polskie, jakie Vigée Lebrun malowała, to był jedenastoletni książę Henryk Lubomirski. Robiła go jeszcze w Paryżu, jako „genjusza sławy“. Rzecz prosta, że w tym wypadku nie chodziło o uchwycenie ani zachowanie typu polskiego, ale chodziło o... wydobycie z tego małego sarmaty starożytnego charakteru. Znamcy orzekli, że to się artystce w zupełności udało...

W czasie swego pobytu w Wiedniu, wśród licznych portretów, jakie tam malowała, w tej chwili



Stolikówna Teresa Czartoryska—portret Vigée Lebrun

\*) Wydawnictwo Polskie — Poznań.

specjalnie nas zajmują, właśnie z tego punktu, o którym mówimy, dwa portrety małych Woynów.

Nie ze względów lukratywnych artystka zrobiła te pastele, gdyż pan poseł upadającej Rzeczypospolitej był człowiekiem niezamożnym: musiały pociągnąć ją twarzyczki towarzyszy zabaw jej małej i może między jedną a drugą zabawą kazala dzieciom stać spokojnie i szybko je naszkicowała. Odrazu to widać, że dzieci nie pozują, tylko są żywcem uchwycone.

Nikt nawet nie zatroszczył się, żeby włożyć im odświętne sukienki, których zresztą może nie miały. Noszą na sobie stroje raczej mieszczańskie, niż arystokratyczne; niema na nich jedwabi, w których się artystka tak kochała i które tak pięknie oddać umiała; chłopczyk ma popielaty kabacik, ożywiony jedynie białą u szyi kryzą; zdobią go natomiast swobodnie rozwichrzone, złote włoski, których nie zaczesano w sztuczne pukle. Siostrzyczka jego, nieco starsza, ma już wygląd dziewczynki, choć w tej chwili jest „naburmuszona“, jak mały dzieciak. Pewno śpieszno jej do zabawy i niecierpliwie czeka, kiedy ta śliczna mamusia Brunette'y uwolni ją od męczącej pozy. Nawet nie ma ochoty przyglądać się robocie artystki.

Maluje ona przecież takimi samymi kolorowemi ołówkami, jakimi oni „robią konie“ z braciszkiem, tym braciszkiem, który kiedyś zostanie generałem austriackim. Gdy patrzymy na ten uroczy portre-

cik, mamy wrażenie, żeśmy takich „naburmuszonych“ dziewczynek niemało widzieli.

Nie obca nam jest też twarzyczka małej Mniszkówny, wnuczki Stanisława Augusta, którą pani Vigée Lebrun dwa razy malowała: raz z Kiopkiem na ręku, ulubionym przez króla i przez nią pieskiem—prześliły obrazek—drugi raz ta sama dziewczynka nagle zrobiła się sensatką i wygląda, jak mała dorosła osobka, o główce zbyt wielkiej przy wąskich ramionkach. Profesor Mycielski, współautor „Polskich portretów Vigée Lebrun“, niestrudzony badacz sztuki i poszukiwacz rzeczy polskich, jeszcze przed wojną bawiąc kiedyś w Sławucie, znalazł w jakimś kącie zakurzony, szerniały portrecik młodzietki dziewczynki, wrócił mu blask i życie i dowiódł gospodarzowi domu, że ta śliczna panienka—to jest jego babka. Książę Roman Sanguszko odczyszczony z pyłu lat babce pośpieszył dać nietyle jej wiekowi, co jej piękności należne miejsce.

Badanie przeszłości dwie nam daje rozkosze: z jednej strony poczucie, żeśmy od naszych poprzedników poszli o wiele dalej, że toczące się bez przerwy lata wciąż coś nowego przynoszą, a z drugiej strony, iż jest jakaś spójnia między nami, a tamtymi ludźmi, spójnia zarówno duchowa, jak i fizyczna. Pragnęłam tu podkreślić na przykładzie dzieci, malowanych przez Vigée Lebrun, trwałość fizycznego typu polskiego, co bezsprzecznie jest też dowodem trwałości duchowej tego typu.

GINA LOMBROSO

## DUSZA KOBIETY

KSIEGA I.

### ALTEROCENTRYZM I TRAGICZNE POŁOŻENIE KOBIETY

*Najszczęśliwsze życie staje się tragicznym dla kobiety, której nie broni egoizm.*

#### TRUDNOŚCI KWESTJI KOBIECEJ

Kobieta ośrodkiem swoich radości i swojej ambicji nie czyni siebie samej, ale istotę, którą kocha i przez którą pragnie być kochana.

Zdarza się nieraz, gdy długo wpatrujemy się w krajobraz alpejski, że zarysy, początkowo jasno odcięte na niebie, zaczynają się nam mącić w oczach: występują wyniosłe szczyty i głębokie doliny, spady wód i zwały śnieżne, które przed chwilą zaćmiewało słońce, tak, że przejście, początkowo łatwe do pokonania lub okrażenia, zaczyna się gmatwać, aż wreszcie staje się zadaniem prawie nad siły. Taksamo

bywa i w życiu. Kiedy spojrzymy na nie poraz pierwszy, kiedy źrenice nasze, nienawykłe jeszcze do żywego blasku dziennego, widzą jedynie ogólny zarys, wydaje się nam proste i łatwe; trudności, jakie mamy pokonywać, to poprostu igraszki dziecięce. Stopniowo jednak, w miarę, jak oczy oswajają się ze światłem, a doświadczenie wzmaga ostrość wzroku, oblicze świata poczyną się komplikować. Dostrzegamy wtedy, że równiny i góry zlewają się ze sobą nie do rozdzielania, i najdrobniejsza zmiana, dokonana w jednym miejscu, odbija się we wszystkich pozostałych. Zdajemy sobie wówczas sprawę, iż przesunięcia, początkowo pozornie tak łatwe, są przeraźliwie żmudne, zawikłane i niebezpieczne. To też, obejrzawszy trudności raz

i drugi, z lewa i z prawa, odchodzimy zniechęceni, aż wreszcie „w bładem odbiciu myśli wszystkie zamiary nasze tracą blask i więdną“.

Czy istnieje, a raczej, czy istniała przed wojną w społeczeństwie nowożytnem większa niesprawiedliwość, niż położenie kobiety? Dlaczego ona, matka wszystkich żyjących, najniezbędniejsza istota w ludzkości, ma być posłuszna mężczyźnie, jednostce niższej z punktu widzenia przyrodniczego, a może także pod względem moralnym i umysłowym? dlaczego ma mieć w społeczeństwie mniejszą, niż on, powagę, być wykluczona z radości, które uchodzą za najprzedniejsze: sławy, zaszczytów, potęgi? odsunięta od stanowisk najbardziej pociągających i zyskowych w życiu publicznym i prywatnym? dlaczego nie posiada tych samych praw, co mężczyzna? dlaczego w zastosowaniu do niej są grzechem te same czyny, które dla niego są przedmiotem chluby? dlaczego zmuszona jest, niemal przez prawo, do moralności wyższej, aniżeli moralność mężczyzny, do ofiar nieskończenie cięższych?

Przez długi czas nie miałam najmniejszych wątpliwości. Wszystko to pochodzi z niesprawiedliwości mężczyzn, którzy zagarnęli sobie lepszą część życia, płynię z krzywd społecznych, które nietrudno będzie zniweczyć.

Jednak powoli, w miarę, jak czas pozwalał mi poznawać dno własnej duszy, dno wspólne wszystkim kobietom, a które młodość snadnie zakrywa, w miarę, jak doświadczenie odsłaniało mi wszystkie wyniki sprawy kobiecej w stosunku do kobiety samej i do społeczeństwa—przekonywałam się, że owe pozorne niesprawiedliwości wypływają z czegoś bez porównania głębszego i bardziej niezwalzonego, niż gwałt lub krzywda społeczna. Przekonywałam się, że zawiśły od powołania kobiety, od szczególnych skłonności, jakie to powołanie niewidocznie w nas wszystkich rodzi, tak w tych, które potrafią je z siebie stracić, jak i w tych, które nie potrafią; w tych, które poddają mu się pokornie, i w tych, które dumnie rzucają mu wyzwanie.

Przekonywałam się, że niesprawiedliwości zależą od harmonji społecznej, dla której potrzebni są mężczyźni i kobiety o rozmaitych cechach i powołaniach, tak jak potrzebne są piszczałki rozmaitej długości dla muzycznej harmonji organów.

#### ‡ lucz do duszy kobiecej: jej alterocentryzm

Daremnie przeczyć. Kobieta nie jest jednakowa z mężczyzną. Weźcie jakąbądź powieść, poemat starożytny, albo współczesny i spróbujcie przedzierzgnąć w mężczyzn najmocniejsze ich bohaterki. Pomyślcie na chwilę, jako mężczyzn, kobiety ze starego i nowego Testamentu: Rebeke, Noemi, Ruth, Magdalene, Marję; pomyślcie na chwilę, jako mężczyzn: Helene, Hekube, albo poprostu Eugenję Balzaca, Rebeke Walter Scotta, Dorry Dickensa, i przyznajcie w cichości,

czy postacie, jakie stąd wyjdą, nie będą śmieszne i potworne?!

Oprócz znanych wszystkim różnic fizycznych i czynnościowych, zachodzi między mężczyzną, a kobietą górująca nad innymi różnica moralna i ona to jest podstawą, z której wszystkie inne wyrastają, a mianowicie: *kobieta jest alterocentrystką: ośrodkiem swojej radości, swojej ambicji nie czyni siebie samej, ale istotę, którą kocha i przez którą pragnie być kochana: męża, dzieci, ojca, przyjaciela i t. p., gdy tymczasem mężczyzna celem swoich przyjemności, czy ambicji, czyni sam siebie.*

Kobieta, wrażliwa na przyjemności i bóle osób sobie bliskich, nie jest zdolna cieszyć się, tworzyć, niszczyć niezależnie od nich, od ich pochwały, ich nagany, od ich uczucia. Jakkolwiek wrażliwa na przyjemności samolubne: smaku, wzroku, słuchu, na przyjemności umysłowe—nie jest zdolna kosztować ich, tworzyć, działać, jeżeli nie ma kogoś takiego, o kimby myślała i ktoby o niej myślał, kogoś, z kimby się radowała, z kim, lub dla kogoby działała, kogo mogłaby uczynić ośrodkiem swoich myśli i ktoby ją uczynił ośrodkiem myśli dla siebie.

Kobieta, żadna życia dla innych, gotowa się dla nich poświęcać, pełna najwyższej wdzięczności za doznane względy—cierpi, gdy inni nie są jej wdzięczni, nie zajmują się nią; gniewa się, egzaltuje, trapi narzeczian, a płomień, dany jej w chwili narodzin, gaśnie, jeżeli nie ma kogo oświecać, kogoś, ktoby go podsycał.

\* \* \*

Mężczyzna—inaczej. Jak każdy na świecie organizm, nieurobiony przez macierzyństwo, mężczyzna jest *egoistą*, a raczej *egocentrystą* w tem znaczeniu, że *stara się siebie, swoje interesy, swoje przyjemności i swoją działalność uczynić centrem świata, w którym żyje.* Zdolny żyć i używać sam jeden, obojętny jest wobec istot, stojących obok niego, wobec ich radości i cierpień. Nie dba, czy sprawia przyjemność, czy zmartwienie, ale skądinąd i nie bierze zbytnio do serca, kiedy się inni nim nie przejmują i nie okazują wdzięczności. Ponieważ pragnie tylko zadowolenia osobistego, unika wzruszeń i dlatego zdolny jest żyć bez miłości i bez nienawiści, bez radości i cierpienia, iść przez życie bez uznania i nagany. Wrażliwy, jak wszyscy, na przyjemności samolubne wzroku, smaku, słuchu, na bogactwo, władzę i rozkosze umysłowe—ma siłę podtrzymywać sam jeden płomień życia, dany mu przy urodzeniu, czego kobieta nie potrafi.

Przyjrzyjcie się dzieciom, kiedy jeszcze żyją razem pod dachem rodzicielskim, otoczone tą samą opieką i troską, kiedy wychowanie jeszcze nie wypaczyło, ani nie stępiło instynktów. Dziewczynka marzy o lalce, chce szyć jej ubranka, pragnie mieć siostrzyczkę, którąby mogła myć, pieścić, kołysać. Chłopiec śni o strzelbach, kulach, o popisaniu się zręcz-

nością i siłą. Dziewczynka bawi się w matkę, doktora, nauczycielkę, mamkę; chce dokazywać z młodszymi, gniewać się, całować; rządzić nimi, żeby i one pieściły ją i całowały; pracuje, uczy się, żeby zrobić przyjemność i usłyszeć pochwałę od matki, albo nauczycielki.

Chłopiec szuka przyjaciół starszych, aby się z nimi mierzyć; chce być szoferem, albo generałem, chce rozkazywać i chce, żeby mu usługiwano; za pomoc matce, czy za odrobienie lekcji, jeżeli go to nie bawi, domaga się cukierków, solda, zabawki, albo też zabiera się do nich ze strachu przed burą.

Tak, jak w dzieciństwie, tak jest i w życiu: mężczyzna wyłącznie zajęty jest sobą, swojemi rozrywkami, czy celami; kobieta wiecznie myśli o innych, liczy się z ich sądem, stara się dogodzić i zmusić, aby się nią zajmowano.

Nawet kobiety przewrotne i samolubne, przejęte jedynie sobą; szukają zadowolenia poprzez innych, i tych innych czynią jego ośrodkiem. Nie chcą bawić się i używać życia na własną rękę, jak na ich miejscu uczyniłby mężczyzna, ale żądają, żeby inni je bawili; pełnię zaś zadowolenia osiągają dopiero wtedy, kiedy tych innych pogrążą doszczętnie, zagarną wyłącznie dla siebie i własnej wygody. W ten sposób przy skończonym egoizmie pozostają w dalszym ciągu alterocentryczne.

\* \* \*

Przyjrzyjcie się starcom, których struktura moralna najwidoczniej uchyla się konwenansom towarzyskim. Zaledwie warunki zewnętrzne zezwolą, mężczyzna, przyciśnięty wiekiem, usuwa się od walki i marzy tylko, aby „zbyć z głowy kłopoty“, uwolnić się od najdrobniejszych nawet przeciwności. Jest to chwila, kiedy najżywszą przyjemność sprawia mu widok czyichś starań o siebie, bez potrzeby jakichkolwiek wzajemnych obowiązków.

Wiekowa kobieta w podobnych warunkach nie tylko nie wyzyska położenia, nie usunie się od walki, aby myśleć wyłącznie o własnej osobie, ale przeciwnie: boleje, że ujęto jej starań gospodarskich, a skazana na bezczynność, tembardziej wyrwa się do wzruszeń i ruchu. Gdy nie może już poświęcać się dla drugich, chce przynajmniej, aby ci drudzy poświęcali się dla spraw, które uważa za słuszne.

Dzieci i wnuki, jeżeli mieszkają z nią razem, stają się przedmiotem jej bałwochwalczej miłości, jej udręką i ofiarami. Zabiega około nich i przejmuje się ich losem nie tylko o wiele więcej, niż jej siły pozwalają, ale więcej, niż w dawnych latach dbała i wzruszała się, jako matka. Nikt wnucząt nie kocha, nie dba o nie, nie wychowuje tak, jak ona radaby je kochać, kształcić, wychować, i nikt także jej nie kocha i nie poświęca się tak, jakby pragnęła. Wykopuje, można powiedzieć, z pod ziemi coraz nowe zajęcia i uprzykrzenia. Zapomina minionych radości—bo uciechy altruizmu i uczucia są nieuchwytnie—pamięta tylko cierpienia, które wspomnienie zaostreza i wycłbrzymia. Dusza jej roi się od frasunków i żalów tak, że w chwili, kiedy powinna błogo odpocząć, cierpi, jak nigdy nie cierpiała.

Najszcześniejszym okresem życia jest dla kobiety czas, w którym troski rodzinne i społeczne pochłaniają jej siły fizyczne i moralne; kiedy dusza jest w ciągłym napięciu, a potrzeba zajmowania się innymi znajduje naturalne ujście; z drugiej zaś strony, kiedy i inni, z samej kolei rzeczy, skazani są na zajmowanie się nią, kiedy jest karmicielką, wychowawczynią, nauczycielką potomstwa, kiedy jest kochanką i kocha.

Kobieta, której nie staje nikogo, o kogoby zabiegała i ktoby wzajemnie jej był oddany: stara panna bez braci, siostrzeńców, wnuków, kobieta, która nie jest nauczycielką, siostrą miłosierdzia, nie ma widomego i jasnego celu w życiu—wypacza się i wykszawia fizycznie i moralnie.

Niema nic bardziej jej wrogiego, jak bezczynność, bierność, obojętność; nic bardziej dojmującego, jak życie, pozbawione przyrodzonych wzruszeń.

Zajrzyjcie do wróżb, a przekonacie się, jakie przepowiednie już od wieków uważano za najpożądane dla kobiet. Niezmiennie natraficie na takie zdania: „Kobieta jest bardzo tkliwa, kocha kogoś, ta miłość jest przyczyną wszystkich jej zmartwień; ale niebawem poznają się na niej; znajdzie wzajemność, wyjdzie zamaż za człowieka, którego kocha, i będzie miała dużo dzieci“.

Mężczyźnie natomiast wróży się, że „próbował szczęścia na stu drogach, ale je wreszcie znajdzie, świat pozna się na jego rozumie. Będzie bogaty i zajdzie daleko“.

(d. c. n.)



## Z ŻYCIA EKRANU

(Film we Francji. Kobieta-reżyser)

W szeregu genialnych wynalazków, jakimi Francja obdarowała świat, znajduje się także kino. Jeżeli kinematografia francuska ustąpiła na pewien czas miejscu kinematografii niemieckiej i amerykańskiej, nie zmienia to faktu, że sam wynalazek jest dzieckiem francuskiego geniuszu (wynalazek braci Lumière). Tak samo, jak to się działo z samochodem, aeroplanem i tylu innymi wynalazkami z dziedziny techniki, medycyny, czy chemii — to, co narodziło się we Francji, gdzieindziej zostało tylko udoskonalone. Nie znaczy to, że rola Francji w dziedzinie filmu już jest skończona. Mam wrażenie, że raczej dopiero się zaczyna. Do masy publiczności francuskiej, wychowanej na klasycznym teatrze i bulwarowej piosence, nie przeniknął jeszcze czar ruchomego obrazu. Nie czuje ona potrzeby wchłaniania go wszystkimi porami i upajania się nim, jak to się dzieje w innych krajach o mniej silnych tradycjach słowa mówionego i śpiewanego. Zarówno w Niemczech, jak w Ameryce, tłum odnajduje w kinie siebie, znajduje tam rozwiązanie wszystkich palących zagadnień natury społecznej, obyczajowej, psychologicznej i artystycznej. To też ustosunko-

wanie się publiczności do widowiska kinowego składa się na pewnego rodzaju współtwórczość, — bezpośrednio reagowania na dzieła filmowe podnieca twórców; oddźwięk, który znajdują wysiłki pionierów, i żywe zainteresowanie się ich pracą — skłaniają do coraz nowych poszukiwań, do coraz głębszego wnikania we wszelkie możliwości kina. We Francji dla tych spraw niema tyle szczerego entuzjazmu. Siódma sztuka jest tam wprowadzie oficjalnie honorowana, ale nie jest tak żywo... kochana. A talenty rodzą się tylko w atmosferze miłości. Dlatego może we Francji jest ich, w dziedzinie filmu, mniej, niż gdzieindziej. Stąd może w filmach francuskich niema tej harmonji, cechującej inne dzieła ducha francuskiego. Stąd może ta nierówność, ta wieczna walka, to zmaganie się sił w obrazach A. Gance'a — stąd ta melancholja, owiewająca każdy film J. Feydera — stąd szarpiący nerwy niepokój M. L'Herbiera. A jednak ci trzej wystarczą, ażeby utwalić imię Francji w historii kina. Ostatni film L'Herbiera, w/g noweli Pirandella „Cień Mateusza Pascala“, należy do najciekawszych obrazów ostatniej produkcji francuskiej i zasługuje na szersze omówienie.

Narazie chcę jeszcze zanotować fakt pierwszego wystąpienia kobiety na arenie reżyserskiej, które też zapoczątkowała Francja, w osobie p. Germaine Dulac. Dziś, kiedy prawie niema takiego pola działania i takiej dziedziny twórczości, gdzie nie spotykałoby się kobiet — nie jest to, zdawałoby się, niczem nadzwyczajnym. Ale X muza, jako kobieta, ulega widocznie łatwiej, mężczyźnie. Nie chodzi tu, bowiem, tylko o talent reżyserski, lecz raczej o charakter pracy, który jest powodem tego, że mamy tak mało kobiet-reżysek (w Ameryce pracuje jeszcze jedna kobieta — miss Arzner). Reżyser jest nie tylko realizatorem jakiejś idei twórczej, ale także kimś w rodzaju wodza na polu bitwy: musi mieć, prócz pomysłów, siłę suggestywną, działającą na tych, którymi dowodzi. Musi obejmować jednocześnie całość i szczegóły planu, który zamierza wykonać; musi umieć narzucić swoją wolę, musi panować nad tłumem aktorów, statystów, operatorów; musi mieć zimną krew i „żelazną rękę“, musi mieć silne nerwy i wielką wytrzymałość fizyczną, albowiem w okresie filmowania niema dnia, ani nocy, wypoczynku, ani święta, jest tylko — praca. Nie każda, nawet utalentowana, kobieta może temu podołać tak, jak nie każda architektka może sama prowadzić budowę. Ale kobiety znalazły wyjście z tych trudności. Naprz. panna Beudé, główna asystentka A. Gance'a, pracuje przy montażu filmów; chociaż więc praca jej jest pod względem artystycznym bardzo odpowiedzialna, nie wymaga takich sił fizycznych. Zaś koncepcje filmowe Germaine Dulac są tak dalekie od t. zw. „monumental-



„Cień Mateusza Pascala“ — reżyserja L'Herbiera

ności", że realizacja ich też nie przekracza sił kobiecych. Nie miałam wprawdzie możliwości poznania jej filmów, jednakże, sądząc z tego, że należy do grupy „awangardy“ (redaguje nawet pismo, które jest organem tej grupy) — twórczość jej musi mieć charakter raczej fantastyczny, a w każdym razie nie szuka oparcia w widzialnej rzeczywistości. Może te subtelne wizje, ta „wzrokowa muzyka“, którą propagują awangardiści—będzie kinem przyszłości i właśnie wśród kobiet raczej znajdzie swe genialne twórczynie. W każdym razie jedno zapamiętam: że pierwszą kobietą, która stanęła pewną stopą na tym nowym dla niej terenie, jest francuzka, rodaczka braci Lumière. *Stef. H.*

## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

### NOWA UCZELNIA SPOŁECZNA W POLSCE

Katolicka Szkoła Społeczna w Poznaniu otwiera w październiku r. b. dwuletni kurs pracy społecznej. Kurs ten ma kształcić w duchu katolickich ideałów społecznych przyszłych pracowników dzieł akcji i opieki społecznej i ułatwić przez to odpowiednim osobom uzyskanie poważnych stanowisk życiowych.

Po bliższe informacje o tym kursie należy się zwrócić (z załączeniem znaczka pocztowego) do Sekretariatu Katolickiej Szkoły Społecznej w Poznaniu — Podgórna 12b.

### KOBIETY W SŁUŻBIE SPOŁECZNEJ

Nowootwierająca się w Warszawie szkoła pracownic społecznych wzbudziła znaczne zainteresowanie w naszym społeczeństwie. Do biura wpisów (ul. Krakowskie-Przedmieście 7, m. 4, II piętro, Polska Macierz Szkolna) zgłaszają się liczne zastępy przyszłych pracownic społecznych, instruktorek, sekretarek i t. p. Wobec projektu ustawy o bibliotekach gminnych, zapotrzebowanie na fachowe siły kierownicze dla samorządowych placówek oświatowych wzmoże się znacznie; tembardziej pochwalić należy inicjatywę założenia szkoły, idącej wyłącznie po linii programu kształcenia wykwalifikowanych pracowników społecznych

### DZIESIĘCIOLECIE PRACY KOŁA MŁODYCH ZIEMIANEK

Obecnie, gdy tak niedawno święciliśmy (jakże cicho!) 10-lecie samodzielności Państwa—niby echa tego święta odbywają się 10-lecia przeróżnych instytucji społecznych, które rozpoczęły swe życie z dniem Niepodległości i teraz święcą swoje 10 lat wytrwałej pracy.

Jedną z takich miłych uroczystości urządziło Koło Młodych Ziemianek.

Zostało ono założone przez p. Grzybowską w imię wielkiego ideału uspołecznienia kobiety. Cel ten godził jednocześnie w dwa punkty: wychowywał i uspołeczniał kobiety wiejskie przez dodatni wpływ kultury i etyki „dworu“, jednocześnie uspołeczniając same działaczki, młode ziemianki, które w tej nowej dla siebie pracy odnajdywały najpiękniejsze ideały. Praca szła z prawdziwym zapałem młodości, co to nie zna przeszkód i buduje w marzeniach runięcia z tej zawrotnej wysokości. To też i rezultaty pracy są niebyłejakie: działalność pośród kobiet wiejskich idzie w dwóch kierunkach: wykształcenia ogólnego i specjalnego, gospodarczego;

to pierwsze przemyca się najczęściej przy pomocy drugiego, tak np: zorganizowane na jaknajbardziej „dzikich“, t. j. nieuspołecznionych terenach, kursy życia pozwalają na cały cykl pogadek i odczytów, podających w łatwej formie najpotrzebniejsze wiadomości z różnych dziedzin. Prócz tego Koło pracuje w Stow. Młodzieży wiejskiej, w Kole Gospodyń, w ochronkach. Przed kilku laty, z inicjatywy p. Rosinkiewiczówny, zorganizowano 3-dniowe kursy gospodarczo-społeczne dla nauczycielek ludowych, dwutygodniowe kursy dla tychże nauczycielek, oraz 10-cio dniowy kurs dla dziewcząt śląskich.

Młode Ziemianki, oprócz pracy samodzielnej i twórczej, nie uchylają się również i od współpracy ze Stow. Zj. Ziemianek, i szczególnie interesują się wydziałami: wychowawczym i społeczno-ekonomicznym, oraz kursem instruktorek w Rudzie Częstochowskiej.

Koło rozszerza również swą działalność poza granice Polski, nawiązując kontakt ze swymi zagranicznymi członkiniami, których jest około 30, oraz bierze udział w kongresach międzynarodowych gospodarczych, społecznych i rolniczych, oraz w międzynarodowej Unji Katolickiej związków kobiecych.

Wewnętrzna, indywidualna praca członkiń Koła polega na częstych zjazdach, na których są wygłaszane referaty i dyskusje, oraz na kursach gospodarczo-społecznych dla członkiń.

Rezultaty są doskonałe: Polska ma już teraz wyćwiczone kadry młodych pracownic społecznych i to pracownic, działających wśród jednego z najważniejszych elementów państwowych: włościanstwa. Zanika powoli nieufność wsi do dworu i (bądźmy szczerzy) niechęć dworu do wsi. Ludzie z dwóch światów stykają się nawzajem i spostrzegają, że mają wiele wspólnych zamiłowań i że jest im razem dobrze. Kobiety wiejskie uczą się rzeczy i spraw, zupełnie im nieznanych i bardzo potrzebnych—a młode ziemianki? Te uczą się rzeczy jeszcze ważniejszych: radości z pożytecznie spędzonych godzin i spraw, wychodzących daleko, daleko poza cztery ściany ich wytwornych buduarów. Czy to mało? *Z. M.*

### KURS GOSPODARCZO-SPOŁECZNY MŁODYCH ZIEMIANEK W NAŁĘCZOWIE

Koło Młodych Ziemianek organizuje na jesieni 2 i pół miesięczny Kurs Gospodarczo-Społeczny w Nałęczowie dla młodych ziemianek.

Program Kursu obejmuje wykłady teoretyczne, zajęcia praktyczne, oraz dział społeczny.

Na kurs przyjmowane będą panienki od lat 18-tu z wykształceniem conajmniej średnim.

Kurs prowadzony będzie przez absolwentki ze szkół społecznych i gospodarczo-rolniczych belgijskich, oraz inne siły fachowe.

Informacyj udziela, oraz zgłoszenia przyjmuje Biuro Młodych Ziemianek (Warszawa, Marszałkowska 149) do dnia 15 sierpnia b. r.

### CZEGO SIĘ UCZĄ NIEMKI

Statystyka wyższych szkół niemieckich wykazała, że w ostatnim semestrze na każdych sześciu słuchaczy przypadała jedna słuchaczka. W uniwersytetach, politechnikach, a także w wyższych szkołach artystycznych i technicznych w Niemczech kobiety stanowią 1/7 ogółu studentów. Procent ten datuje jednak od niedawna, zaledwie od dwóch ostatnich lat dopiero i wzrasta bardzo szybko, zwłaszcza na niektórych wydziałach.

Na studjach filologicznych np. (specjalnie języki nowożytne) liczba studentek zwiększyła się o 60 procent w ciągu jednego roku! Pozatem najwięcej uczęszczane są: historia, matematyka i nauki przyrodnicze. Liczba słuchaczek medycyny pozostaje prawie bez zmiany, pomimo że w Niemczech praktykuje już obecnie dwa tysiące lekarek. Coraz więcej też zaczynają kobiety zapisywać się na wyższe uczelnie techniczne: gospodarcze, leśne, handlowe i t. p. praktyczne studia, *N. J.*



## OBRAZY Z HISTORJI MODY

### III. RENESANS

A teraz jedziemy do Madrytu. Jesteśmy w końcu XVI w. Ożywcze prądy Odrodzenia przeszły już przez całą Europę. Czem było Odrodzenie, wiemy wszak wszyscy. Zerwano ze scholastyką i dogmatycznym sposobem myślenia średniowiecza. Spojrzano dookoła siebie i ujrzano nie tylko słowa ksiąg, ale żywy świat. Człowiek zaczął patrzeć na naturę i badać jej tajniki, zażądał wolności myśli i wolności przekonań. Od wieków poraz pierwszy ujrzał siebie samego, zrzucił z siebie pęta nakazów i zakazów. Zażądał prawa dla wzgardzonego dotąd ciała, zaczął dążyć nie tylko do szczęśliwości niebieskiej, ale do najbardziej ziemskiego dobrobytu. Spostrzegł nagle, że ma wartość sam, jako taki, a nie tylko w masie. Z bezimiennego — stał się imiennym. Jeśli tworzył, podpisywał dzieło swoje i dążył do osobistej sławy, której nie miał anonimowy artysta średniowieczny.

Człowiek Odrodzenia otworzył szeroko drzwi i okna swego domu. W ciasne i przyćmione komnaty średniowieczne weszło światło i powietrze. W tem wszystkim przyświecał mu nietylko znany, ile umiło-



wany ideał życia klasycznego. Zapragnął harmonijnego bytu greków i rzymian, ich pogodnego stosunku do siebie samych i do życia.

Tak wyglądały hasła Odrodzenia, które zaczęło się we Włoszech w wieku XV, a w ciągu wieku XVI zawładnęło wszystkimi krajami Europy. Czegóż można się było spodziewać po potężnym tym kierunku, jeśli chodzi o modę?

Zdawałoby się, że hasła powrotu do starożytności i pragnienie harmonijnego stosunku do ciała powinny były wprowadzić formy ubiorów, przynajmniej w zasadniczym charakterze zbliżone do ubiorów greckich. Że powinno było narodzić się coś, co podobnie, jak ubiór starożytnych, liczyłoby się z kształtami naturalnymi i prawami życia cielesnego. A jednak stało się inaczej. Wprawdzie w ciągu wieku XV we Włoszech daje się zauważyć jakgdyby lekkie odprężenie, jakgdyby uproszczenie ubioru. Zmienia się sposób trzymania się, wyprostowuje się klatka piersiowa i podnosi głowa. Lecz na tem się kończy. Zamiast miękkiej, fałdzistej sukni greckiej, triumfuje nadal wyrosła na gruncie średniowiecza szeroka, sztywna spódnica i obcisły, również sztywny, stanik. Można by przypuszczać, że po jakimś czasie przynajmniej zwyciężą jednak w praktyce hasła Odrodzenia. Lecz dzieje się odwrotnie. Spójrzmy, jak wygląda dwór hiszpański w drugiej połowie XVI wieku. Był to wszakże dwór najświetniejszy wówczas, a moda, która się tam zrodziła, opa-

nowała całą Europę i narzuciła jej charakter na lat mniej więcej 100.

Nie zapominajmy, że przeciętna letnia temperatura Madrytu wynosi 40 stopni Celsjusza. I teraz uczmy się oceniać wielkość bohaterstwa w imię mody. Damy hiszpańskie noszą bowiem 8—16 spódnic, a każda z tych spódnic—jeśli dama jest szlchetnego urodzenia—jest z ciężkiego brokatu, o którym napróżno marzyłyby dziś nasze panie. Nie koniec na tem. Wyszukają kibić pięknej hiszpanki opasuje gorset, wysoki, sięgający aż pod pachy i zrobiony z nieładą materiału: ze stalowych sztabek. Szyja hiszpańskiej damy ujęta jest w krezę, złożoną z kilkunastu warstw wysztywnionego płótna, częstokroć podtrzymywanego jeszcze przez druciki. Na tej podstawie stoi nieruchomo głowa, o wysoko zaczesanych włosach. Oto, w co przeszły ideały Odrodzenia—w dziedzinie mody, oczywiście.

Nie sądźmy jednak, że te madryckie męczarnie były tylko udziałem kobiet. Grandowie hiszpańscy, niezmiernie zresztą piękni, nie pozostali w tyle. Nosili głowy na tak samo sztywnych krezach. Czarne ich bluzy podwatowane były mocno, tworząc jakgdyby jedwabny pancerz. Bombiaste, wypchane spodnie obejmowały biodra i połowę uda. Jedynie tylko nogi, w obcisłych, czarnych pończochach, zachowały swój kształt naturalny. Hiszpańska ta moda nie oszczędzała nawet dzieci. Obrazy Velasqueza pokazują nam małe infantki w sukniach o średnicy jedno, lub nawet półtorametrowej.

Tak kroczy dwór hiszpański po salach madryckiego zamku zimą i latem. Dodajmy do tego, że etykieta dworska zabraniała niejednokrotnie nawet — otwierania okien.

Myliłby się, ktoby sądził, że moda ta pozostała tylko przywilejem Hiszpanji, lub tylko przywilejem dworów.

Właśnie ona, ta moda, która uniemożliwiała nie tylko ruch, ale niemal nawet oddychanie, właśnie ona przewędrowała przez całą Europę i narzuciła swoje formy ubiorom wszystkich warstw, z wyjątkiem ludu. Jeszcze w XVII wieku mieszczaństwo holenderskie stylizuje swe ubiory według pierwowzoru hiszpańskiego, z nieznacznymi tylko modyfikacjami. Pozostaje kreza, pozostaje wysoki gorset, zmienia się może tylko ilość spódnic, ale szerokość bioder markuje grubo wypchany wałek, nakładany poniżej pasa.

Szukając ideologii tego ubioru, napróżno zwracalibyśmy się do haseł Odrodzenia. Jest to atawistyczny potomek średniowiecza. I tutaj tworzy człowiek z siebie coś, co jest czystą sztuką, nie liczącą się zupełnie z przyrodzonymi warunkami. Stylizuje się bez granic i bez miary, per fas et nefas, i nic go już na tej drodze zatrzymać nie może.

Stefanja Zahorska.

## KILKA SŁÓW O ROZMOWIE TOWARZYSKIEJ

Musimy przyznać, że kult rozmowy został przez powojennych ludzi zupełnie zaniedbany. Minęły czasy uroczego badinage'u, gdy rozmowa perliła się, jak szampan, grała kolorami, jak bańka mydlana, choć, jak owa tęczowa bańka — pusta była i beztreściwa.

Wiek XVIII-ty był epoką, kiedy wytworne margrabiny i strojni w jedwabie rycerze ich wkładali niesłychany kunszt w prowadzenie filigranowych, koronkowych rozmów, misternych, jak złote cacka, wyszłe z pod czarodziejskiej dłoni Benvenuto Cellini. Rokokowe panie i panowie, posiadający przeważnie bardzo mierne wykształcenie, krzyżowali iskrzące dowcipem szpady konwersacji, której treścią było przeważnie przekomarzenie się na temat miłości, czy intryzek salonowych. Przedmiot rozmów pozostawał prawie niezmiennie ten sam; głównym ich celem było popisywanie się żonglerką misternych zwrotów, błyskotliwych paradoksów, oraz zadawanie, w razie potrzeby, niedbałych, choć bolesnych nieraz cięć, przyjmowanych zawsze z uśmiechem i odpieranych błyskawicznie zapomocą żartobliwej, a niezawodnej riposte'y.

Minęły świetne i niefrasośliwe czasy figurynek z sewrskiej, czy saskiej porcelany. Wdzięczne echa sztuki rozmówczego wsiąkły w rzeźbione gabloty i sprzączki, błakające się dziś jeszcze po szafach muzealnych; ozwały się słabym dźwiękiem w salonach Tulleryjskich, skąd cesarzowa Eugenia roztaczała blask wdzięku i wytwornych manier; zabrzmiały jeszcze tu i owdzie w dyplomatycznych i literackich salonach wpływowych dam Europy,—wreszcie umilkły bodaj zupełnie.

Wraz z demokratyzacją społeczeństw, znikły tak zwane dawniej „dobre manjery“, o których dziś wiemy nieco tylko ze słyszenia i z czytania w starych annalach, jak to, panie Dobrodzieju, in illo tempore bywał! — Jednocześnie piękna sztuka prowadzenia rozmów skurczyła się i zwiędła, jak dawno niepodlewana roślina.

A szkoda jej... jak żal jest każdego wysiłku, mającego na celu kulturalne podniesienie form ludzkiego współzycia.

Współcześni mężczyźni, posiadający przeciętnie pewne wykształcenie, przywykli do sportu i żołnierki, oraz kobiety dnia dzisiejszego (co odpowiada mniej więcej mężczyznom dnia wczorajszego) nie mogą rozmawiać między sobą tak, jak ich pradziadowie i prababki z wieku 18-go.

Ludzie dwudziestego stulecia, będący świadkami wielkiej wojny, olbrzymich przewrotów społecznych, niesłychanej wagi odkryć naukowych, ludzie, współcześni Marconiemu i Lindberghowi—mają sobie z pewnością znacznie więcej do powiedzenia, niż ich



pradziadowie. Inna jest cała ich mentalité, inny stosunek obu płci, inne poglądy na świat i życie. Wyzwoliliśmy się oddawna z pęt, które dobrowolnie nakładano sobie w towarzystwie za czasów incroyable'ów i dames précieuses. Jednak między ich sztuczną a śmieszną elegancją rozmów, a naszą „naturalną”—powiedzmy delikatnie—nieudolnością w tej dziedzinie—leży jeszcze mnóstwo pośrednich możliwości. Nie chodzi mi też o jakąś wyjątkowo wyszukaną błyskotliwość i sztucznie wypracowaną, a wymuszoną barokowość stylu rozmówczego.

Stwierdzam tylko, że rozmowy, prowadzone we współczesnych bawialniach, bywają prawie powszechnie błahe, ubogie i nieudolne, zarówno pod względem treści, jak i sposobu wypowiedzenia się.

Naogół ludzie dzisiejsi unikają rozmów towarzyskich,—czy to dlatego, że w sensie rozrywkowym zastępuje im je kino, teatr, książka, czy też—nie mają sobie nic do powiedzenia, albo też, wreszcie, są za leniwi na to, aby się zdobyć na pewien wysiłek umysłowy; — jakiegokolwiek przyczyny będziemy się tu doszukiwać, — faktem jest, że jedni uciekają od rozmowy do kart, inni—do tańca, a gdy komu z konieczności wypadnie wziąć udział w rozmowie, to tematem jej będą plotki, albo najpospolitsze w świecie obmawianie bliźnich.

Rozmówcy dzisiejsi wpadają z jednej ostateczności w drugą: bardziej nerwowi i żywi, w obawie przed najmniejszą pauzą, paplają bez przerwy najbanalniejsze pod słońcem komunały o pogodzie, o tem, że śnieg jest biały, a noc czarna, cukier słodki, a deszcz mokry; albo też—bardziej flegmatyczni—spoglądają na siebie bezradnie i tępo się uśmiechają, jednocześnie łamiąc sobie gorączkowo głowę nad tem, o czemby tu mówić.

Mężczyzna, zmęczony całodzienną umysłową pracą, naogół niechętnie rozmawia w towarzystwie z kobietą, chyba, że jest ładna i... głupia. To bardzo proste: na kobietę brzydką mężczyźni wogóle nie zwracają uwagi, jeśli zaś jest rozumna i, broń Boże! wykształcona, to są za leniwi, aby zadawać sobie trud prowadzenia „inteligentnej” rozmowy; przytem bywają zawsze tak przekonani o własnej wyższości umysłowej, że nie spodziewają się usłyszenia czegoś interesującego z ust niewiasty, choćby mądra była, jak sam król Salomon. Natomiast, w towarzystwie kobiety ponętnej i głupiutkiej, temat do rozmowy sam się nasuwa: prawi się jej płaskie komplementy, opowiada anegdotki, mające siwe brody ze starości, lub też, co jest najczęstsze, przypuszcza się do niej zdobywczy atak.

Gdy rozmówczyni robi wrażenie fortecy, niezbyt trudnej do zawładnięcia, rozwija się najpospolitszą strategię, wzorowaną na wyszarzanych dziś praktykach margrabiego de Priola, a mającą niedwuznacznie na celu zwabienie przeciwniczki do garsonjery, w której przechowuje się cudną kolekcję spinek z masy per-

łowej, lub innych przedmiotów, równie ciekawych i niezwykłych.

Nasze panie nie są również mistrzyniami konwersacji. Dzisiejsza młoda dziewczyna, czy kobieta, lubi być traktowana przez mężczyzn, jak mężczyzna; ćmiąc papieros po papierosie i zakładając wysoko nogę na nogę, prawi nonsensy o polityce, ekonomii czy filozofji, wywołując ziewanie u swego interlokutora.

Natomiast panie w dzisiejszym wieku balzakowskim, czyli po czterdziestce, pasjami lubią odgrywać rolę frywolnych kobieciełek: nie zaniebują mizdrzenia się, strojenia minek i uprawiają namiętnie, a nawiennie „fishing of compliments”. Wszystko to razem nie ma nic wspólnego z rozmową, a jest raczej pustą gadaniną rzeczy błałych i nikomu niepotrzebnych i służy do bylejakiego zabicia czasu, przeznaczonego na rzekomą rozrywkę.

A tymczasem, ile głębokiej przyjemności może osiągnąć para kulturalnych ludzi w przyjacielskiej i nieprzymuszonej pogawędce!

Człowiek dla człowieka może być prawie zawsze księgą zajmującą i pełną niespodzianek, księgą żywą, w której dowolnie czytamy tylko stronicę, mogącą nas zaciekawić—należy tylko umieć ją czytać.

Sądzę, że niema na świecie człowieka, bez względu na środowisko, z którego pochodzi, któryby nie posiadał jakichś specjalnie właściwych sobie dążeń i upodobań, zdolnych wzbudzić zainteresowanie u innych.

W rozmowie trzeba je właśnie wyciągnąć na światło, a potem potrafić samemu skupić się i słuchać.

Tak, słuchać, gdyż nieodłącznym i bodaj najważniejszym warunkiem sztuki rozmawiania jest właśnie umiejętność słuchania. Jakże jednak mało ludzi na świecie posiada ową umiejętność, jak rzadko dochodzi do świadomości naszej potrzeba osiągnięcia tej niesłychanie kulturalnej zalety!

Oczywiście, samo bierne słuchanie nie wpłynie na jakość rozmowy; gdy nasz rozmówca paple same wytarte banalności, trzeba umieć naprowadzić go na przedmiot, w którym miałby coś istotnego do powiedzenia.

Skoro wypadnie nam samym bawić kogo pogawędką, nie zapominajmy, że wolno jest nam mówić tylko o przedmiocie, który dobrze znamy.

Jakże często zdarza się słyszeć rozmowę dwóch osób, z których jedna jest pewnym autorytetem w jakiejś gałęzi nauki czy sztuki, druga zaś—najpospolitszym laikiem,—gdy ów laik, pragnąc popisać się swą rzekomą erudycją, zaczyna roztaczać przed partnerem swe dyletanckie teorie z tej właśnie dziedziny, miast samemu słuchać i tylko krótkimi uwagami i zapytaniami zdradzać zainteresowanie przedmiotem.

Człowiek jest zawsze egoistą i najwięcej zajmuje go to, co dotyczy jego osoby; niechaj jednak nie

zapomina, że rozmowa towarzyska jest zabawą we dwie czy więcej osób: jeśli chcemy uprzyjemnić ją naszym partnerom, należy poruszać tematy miłe i bliższe im właśnie, a nie nam samym.

Jeśli treść naszych rozmów bywa przeważnie nudna i uboga, to już forma ich jest wręcz fatalna!

Szkoła polska stosuje widocznie nieświetny system nauczania języka ojczystego, skoro, wymagając od ucznia, aby wyraził graficznie krzywą uczuć pana Tadeusza do Telimeny, jednocześnie nie potrafi nauczyć go (ucznia, nie pana Tadeusza) mówić poprawnie po polsku.

Faktem jest, że rozmowa ludzi, nawet skądinąd inteligentnych, roi się od „powiedzonek” w rodzaju: „dochodzę do telefonu”, „czem bardziej, tem nie mniej” itp. kwiatuszków, które już nikt nie raża, tak się ogół do nich przyzwyczaił.

Pomijając błędy — nasz język rozmówczy jest ubogi i wyszarzany, jak worek żebraczy, — szary i bezbarwny, jak kurz przydrożny.

Upadek kultury rozmów jest tylko częściowym objawem obniżenia się kultury towarzyskiej wogóle. Pod tym względem cofamy się wstecz w sposób zatrważający. Przeto, kto nie chce poddać się biernie owej wstecznej fali i komu zależy na podniesieniu kultury towarzyskiej, ten niechaj się zastanowi nad swoim własnym sposobem prowadzenia rozmowy; niech popracuje nad sobą w tej dziedzinie, a przekonana się, że być niezłym causeurem, to znów nie tak trudno, i że umiejętnie prowadzona rozmowa może przynieść wiele pożytku i mnóstwo przyjemności.

*Róża Czekańska-Heymanowa.*

## TYDZIEŃ W PRADZE

Jechałyśmy dla obejrzenia jubileuszowej wystawy rolniczej, urządzonej w Pradze Czeskiej w dziesięciolecie odzyskania niepodległości Państwa Czeskiego, i dla wzięcia udziału w IV-tym Zjeździe Gospodyń Czeskich, zorganizowanym przez Masarykową Akademię Pracy, instytucję, odpowiadającą mniej więcej naszemu Instytutowi Organizacji Pracy. Jechało nas 60 pań, młodych i starszych, ziemianek i instruktorek kółek rolniczych C. T. R., kierowniczek szkół gospodarczych, organizowanych przez ziemianki, parę osób zupełnie luźno z tem towarzystwem związanych, — zwykły skład zbiorowej wycieczki. Droga do Pragi nie jest męcząca: jedna noc w doskonale urządzonych wagonach naszych polskich kolei, bez przesiadania na granicy. Rano stajemy na miejscu.

Narazie wszystko jest dobrze: jakiś pan uprzejmie nas wita, wsadza do autobusów, opiekuje się naszymi pakunkami, obiecuje nam dać studenta, jako kierownika

przy zwiedzaniu Pragi, przedstawia tego studenta, upewnia, że o 9-tej tenże student wprowadzi nas na trybunę, gdzie będą zarezerwowane miejsca, dla obejrzenia trzydziestotysięcznego pochodu w strojach narodowych itd. itd. Ruszamy; dalej zaczyna mi się coś mniej podobać; mijamy śródmieście, a nawet i dalsze dzielnice miasta, i gdzieś daleko, na jego krańcach, zatrzymujemy się przed dużym gmachem, gdzie mamy zamieszkać zbiorowo. Szkoła powszechna dla dziewcząt; narazie sypialnie niegotowe, ale możemy się ubrać w klasach: — dziś Święto Narodowe, więc lekcji niema. Możemy też dostać na miejscu kawy, wybornych rogalików i — widokówek. Staramy się nadrabiać minami, pijemy kawę, kupujemy widokówki i usiłujemy umyć się w niedużej ilości miednic, w jakiejś nieokreślonej natury, przejściowej ubikacji. Dziewiąta, pół do dziesiątej — naszego studenta niema (potem okazało się, że był, lecz któraś z pań podobno powiedziała, że jeszcze nie wszystkie są gotowe, więc poszedł). Nakoniec, koło dziesiątej, zjawia się jakaś studentka, upewniająca, że mówi po francusku; wierzymy jej na słowo, lecz zrozumieć ani ona nas, ani my jej nie możemy.

Pędzimy wdół do tramwaju, jedziemy daleko, daleko, pędzimy pod górę z tramwaju i zostajemy wpakowane w tłum, stojący w okolicach Muzeum Narodowego, tłum ani uprzejmy, ani elegancki. Widzimy, a raczej mniej więcej widzimy, olbrzymi pochód. Pod sztandarami z nazwami okolic i hasłami patriotycznymi idą tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi; przy sztandarach grupy po kilka, kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt osób w strojach narodowych danej okolicy. Stroje przepiękne, kobiece i męskie, niesłychanie barwne i przyozdobione bogatemi haftami, złotem i koronkami, drobnouchem rurkowaniem. Szczególnie czepce kobiece są wspaniałe. Ale nie stroje i nie liczebność pochodu najbardziej nam w danej chwili imponują: niesłychany jest nastrój, zarówno tych, co idą, jak tych, co ich witają, — i tu i tam słyhać okrzyki: „na zdar!”. W tych okrzykach brzmi takie przejęcie, taka miłość wzajemna, taka radość, takie szczęście z tej chwili obchodu dziesięciolecia niepodległości ojczyzny, że zapomina się o twardych kamieniach chodnika, o potrącaniu przez sąsiadów, o upale, o czekających niewygodach niemożliwej lokaty — czuje się tylko prawdziwy podziw dla Czechów, dla ich patriotyzmu, dla ich wspaniałej organizacji.

Po obiedzie, przy którym wybór dań jest dosyć trudny, gdyż jeszcze nie możemy się oswoić z tak podobnym do naszego, a jednak tak zupełnie różnym językiem naszych pobratymców, oglądamy grupami miasto. Praga jest wprost bajkowo piękna. Położona, jak starożytny Rzym, na siedmiu wzgórzach — co szaloną dumą jej mieszkańców napawa, — przecięta wijącą się wstęgą Wełtawy, poprzecinanej ogromną ilością przepięknych mostów. Nie mogłam się do-

kładnie dowiedzieć ścisłej ilości tych mostów: jedni mi ją na 9, inni—na 11 podawali. Miasto poprzecinane szerokimi bulwarami, otoczone wspaniałymi parkami; czystość i porządek wszędzie wzorowy, bruki doskonałe.

Jeżdżąc dużo, byłam i na przedmieściach, i w dzielnicach robotniczych: — gmachy mniej wspaniałe i ruch na ulicach mniejszy, lecz pod względem utrzymania domów i jezdni—różnicę żadnej ze śródmieściem.

Wieczorem mamy zebranie dla zaznajomienia się z organizatorami Zjazdu, o którym pisałam już, zdając sprawozdanie z tego Zjazdu; o zebraniu więc, jako też i o samym Zjeździe już nie będę więcej wspominała. Natomiast wystawa, — na bramie wejściowej napis: „Orz głębiej!“. Na głównym budynku wystawowym: „Głęboka bruzda niech będzie Twoim najlepszym podarkiem na dziesięciolecie odrodzonej Ojczyzny!“ Nadzwyczaj proste, — jak wszystko w Czechach, i nadzwyczaj celowe — jak wszystko w Czechach.

Publiczność zwiedzająca — prawie sami chłopcy; te dziesiątki tysięcy chłopów, cośmy widziały w pochodzie narodowym, nieeleganccy, a nawet, powiem, nieokrzesani, ale doskonale rozumiejący, poczętu przybyli, oglądający z zaciekawieniem i zrozumieniem rzeczy maszyny i narzędzia, bydło i drób, tak samo, jak ze zrozumieniem słuchali objaśnień przewodników w Muzeum Narodowym, na Hradczynie i w innych miejscach, gdzie wciąż ich całe tłumy spotykamy.

Dla nas najciekawszym jest dział szkół kobiecych, gospodarczych, rozmaitego typu, od sześciomiesięcznych — dla gospodyń wiejskich—do wyższych szkół rolniczych włącznie. Programy tych szkół bardzo są ciekawe, pozwolę sobie kiedyś obszerniej je omówić; tutaj tylko zaznaczę, że nie tylko wykresy i programy figurowały na wystawie: całe stoiska napełnione bielizną, szytą w szkołach, wspaniałymi konserwami, kompotami, konfiturami, syropami; całe stoły założone pracami uczni. Są tam rysunki stylowe, wprost zadziwiające, obliczenia poważne, dowodzące, że nie tylko strona praktyczna, lecz i teoria, właściwie metodyka nauki bardzo wysoko tam stoi.

Poza działem szkolnictwa gospodarczego z podziwem oglądamy dział ogrodniczy. Olbrzymie goździki amerykańskie, hodowane nie na Rivierze francuskiej, lecz w Pradze Czeskiej; orchideje, jak marzenie; olbrzymie hortensje, których poszczególne kwiatki dosięgają rozmiarów dużego kwiatu głogu; inspektowe okna, pełne olbrzymiej, głowiastej sałaty; cieplarnia, pełna ogórków, wiszących, jak potworne węże, nad głowami zwiedzających. Po ogrodnictwie — nierogaczna: imponujące rozmiarami piękne owce, nie liczne kozy, ogromna ilość królików i drób. Drobiu mnóstwo i bardzo pięknego; wszystkie znane nam rasy mają swoich przedstawicieli.

Dział bydła mniej mi imponuje: na naszych wystawach widzimy takie same, a może piękniejsze egzemplarze. Ogromna część wystawy zajęta jest przez różnego rodzaju restauracje i jadłodajnie. Od skromnych młeczarni, w których mleko jest tak wyborne, że kilka razy na dzień do niego wracamy, — cukierni, gdzie olbrzymi odbył mają lody („zmrzlina“ po czesku) — wędliniarni z wyborną gorącą szynką i „parkami“ (parówkami), piwiarni i kawiarni bez liku, do dużych restauracji, — wszystko przepełnione tłumem pożywających się gości.

Chociaż już sobie prywatnie urządziłam małą wycieczkę tramwajowo-pieszą na Hradczynie, z chęcią przyłączam się znowu do grona pań, jadących tam autobusem i z przewodnikiem. Taki autobus dla zwiedzających jest doskonałym sposobem poznania miasta. Kolejno oglądamy wspaniały zamek byłych królów, Hradczynie, obecnie rezydencja prezydenta Masaryka. Ponieważ mowa tutaj o prezydencie, pozwolę sobie na małą fugę w kierunku podkreślenia nadzwyczajnej miłości, jaką czesi żywią dla głowy państwa. Nietylko wszystko, co jest nowe, a ma być dobre, nosi jego imię, lecz kiedy czech mówi o swoim prezydencie, — to jakimś specjalnym, pełnym miłości, a szacunku sposobem. Na Hradczynie oglądamy apartamenty recepcyjne pałacu i najciekawsze dla nas zabytki po Władysławie II Jagiellończyku.

Malusia uliczka, złożona z maluszków domków, gdzie się gnieździł — bo trudno to nazwać mieszkaniem — alchemicy, poszukiwacze złota, nosi nazwę Złotej ulicy. Pałac arcybiskupi, pałac Szwarzenbergów, jeden rzut oka na leżącą u nóg piękną Pragę — i jedziemy dalej. Pałac Wallenstejna, któremu rzemiosło kondotjera w wielkim stylu nie przeszkodziło zebrać pięknych mebli i kolekcji wschodnich, stara synagoga z zegarem żydowskim, wieża prochowa i ratusz staromiejski z zegarem o potrójnej tarczy. Ponad zegarem tym, przy biciu godzin, otwierają się okienka, i w nich widać dwunastu apostołów, przechodzących kolejno; inne postacie, już nazewnętrz zegara — też się poruszają, przyczem śmierć groźnie macha kosą. Z mostów praskich najciekawszym niezaprzeczeniem jest most Karola V-go, ze statuą Św. Jana Nepomucena, ustawioną w tem miejscu, skąd Święty ten został wrzucony do Wełtawy. Ciekawą jest postać Chrystusa na Krzyżu z żydowskim napisem. Do wystawienia jej zmuszono żyda za to, że, przechodząc koło figury Świętego Jana, nie zdjął czapki.

Cóż mam jeszcze dodać? Oto chyba, że kilka inteligentnych czeszek, które poznałam i z których miłej gościnności przez jeden wieczór w klubie Społecznym korzystałam, jak i te wszystkie, które na Zjeździe przemawiały, — zrobiły na mnie ogromnie miłe wrażenie osób bardzo wykształconych, bardzo uspołecznionych i nadzwyczaj prostych i naturalnych — takich, jakichbym jaknajwięcej u nas, w Polsce, widzieć pragnęła.

Pani Elżbieta.

## MOLE I KRÓLIKI

Dziwne zestawienie! Wszak to prawie dwa kontrasty. Pierwszy — to sublokator naszych mieszkań, przeważnie mieszcuch, niszczyciel naszego dobra; drugi — mieszkaniec wsi, chowany wśród zabudowań folwarcznych; użyteczny, bo mięso jego jest jadalne.

Pierwszy — to owad; drugi — gryzoń. Nie znają się nawet wcale, chyba, że na futrzanym kołnierzu z królika molica złoży jajeczka. A jednak bywa, że styczność pomiędzy nimi jest właśnie ich kontrast.

Jeżeli piękne futerko, którym się szczyli kobieta, rozsypie się, zjedzone przez mole — nowy królik, przez hodowców wychowany, stratę wynagrodzić może.

Zacniemy opis od bliższego nam — mola. Na jego widok, gdy bezszelstnie zaczyna krążyć w pokoju, rodzina cała porzuca pracę i zabawę i, klaskając w dłonie, rozpoczyna gonitwę za tym wrogiem, ledwo widzialnym, który widmowo niemal rozplywa się w powietrzu.

Pogon bezcelowa, choć uda się zetrzeć go na proch. Fruwa bowiem samiec tylko, który żadnej szkody nie przyniesie, gdyż najczęściej spełnił już swe zadanie: dał życie nowym owadom. Samica zaś, pełna groźnych jajeczek, siedzi w ukryciu i czeka chwili wyzwolenia, która zarazem jest jej kresem.

Dotąd mniemano, że mól niesie się tam, gdzie jego potomstwo znajdzie odpowiednią strawę. Jeden jednak z badaczy twierdzi, że owad rozrzuca je na los szczęścia, po kątach i między szczelinami w podłodze.

Ale że tam trudno się do nich dostać, weźmiemy więc tylko pod uwagę te, co lokują się wśród naszych rzeczy.

Gatunków jest kilka. Różnią się między sobą rodzajem pożywienia: jeden lubi wełnę, wciska się do sukien, derek i t. p.; drugi upodobał sobie futra; trzeci — włosie i dlatego wysiada w meblach, materacach i t. p.

Nie wchodzi sobie w drogę zupełnie.

Mól przechodzi trzy fazy: z jajka wylęga się poczwarka, potem przemienia się w chryzaliidę, a następnie — w motyla.

Ogólną cechą moli-motyli, to uwłosiona głowa i dwa przednie skrzydełka, krótsze od dwu tylnych. Przednie są wąskie, ostro zakończone, tylne zaś — owalne i często wyąbkowane. Łapki są długie i stosunkowo grube; podbrzusze — owłosione. Objętość nie przekracza jednego centymetra, a barwa jest zawsze szara lub żółtawa.

Ogólną znowu cechą poczwarek jest, że siedzą zamknięte w pochwie, którą same sobie przyrządzają.

Dla dokładnego zapoznania się z życiem mola weźmę pod uwagę gatunek tak zwanego mola wełnianego. Inne — niewiele się różnią w zasadniczych swych cechach.

Motyl ten ma przednie skrzydełka w połowie białe-żółtawe, w drugiej — ciemniejsze, tylne zaś — po-

pielate. Jajko, przez niego zniesione, długie na milimetr, po piętnastu dniach pęka, i wychodzi zeń poczwarka.

Dzidzius ten — to nie wypieszczona, „wychuchana“, starannie wykarmiona istotka. O, nie! Matki już nie ma na świecie. Od zarania walczyć musi o byt. I ta mała glizda, o skórze białej i przejrzyściej, choć nie dłuższa od jajka, z którego się wydobyła, od pierwszej chwili gryzie i tnie wokoło materiału, na którym się urodziła. Ale że nietylko potrzebuje się żywić, ale i ubrać także, więc część łupu idzie na pokarm, a z reszty sporządza pochewkę, którą się otacza. I wtedy, mając suknię tej samej barwy, co podłoga, dla oka ludzkiego staje się niewidzialna.

Wśród ciągłego uctowania rośnie ona szybko i wkrótce sukienka staje się za krótka. Rozrywa ją wtedy z jednego końca i przydłuża, niby zręczna krawcowa.

A kiedy czuje, że zbliża się godzina jej przemiany, przestaje jeść, zamyka otwór pochewki i siedzi spokojnie, czekając wypełnienia losu. Przemienia się potem w chryzaliidę i wkrótce potem w motyla.

Motyl, pozornie, to korona jej istnienia. Lecz trwa to krótko. Celem motyla jest małżeństwo i potomstwo. Nic nie jada, nic nie gryzie, a motylca, gdy zniesie jajeczka — umiera.

Tę samą kolejność stwierdzić można i wśród innych gatunków.

W marcu, a nieraz i w lutym, gdy słońca bywa dużo, wylęga się najwięcej moli. Wtedy koniecznym się staje przegląd naszych skarbów, staranne ich wytrzepanie i wyczyszczenie.

Dobrze jest szafę ubraniową, po usunięciu rzeczy, w środku starannie wytrzeć z kurzu, umyć dokładnie ciepłą wodą, a gdy przeschnie — zwykłą terpentyną. Można to jeszcze powtórzyć wśród lata, lub ku jesieni, gdy znowu mole mnożą się w większej ilości. W tak utrzymanej szafie zwykle się nie gnieźdzą.

Najważniejszą jest jednak staranna izolacja rzeczy, by molica z jajkami dostać się nie mogła.

Na różny sposób ludzie do tego dochodzą.

W pewnym domu widziałam metalową skrzynię z rowkiem dokoła i z pokrywą, szczelnie wsuwającą się do rowka. I nigdy między rzeczami, tam schowanymi, po uprzednim wytrzepaniu, nie znaleziono mola. Metal można zastąpić drzewem, a jeżeli wieko nie jest dość szczelne, trzeba nasypać piasku do rowka.

Zauważono, że mole nie lubią gazet: odstręcza je od nich zapach farby drukarskiej. Korzystając z tego, od kilkunastu lat bronię się przed nimi w ten sposób.

Z wiosną, bardzo starannie czyszczyć pojedyncze sztuki wełniane, nawet i mniejsze futerka; potem każdą sztukę z osobna, przełożywszy papierami, maczanymi w terpentynie, owijam w gazetę bardzo szczelnie i następnie każdą paczkę ściśle owijają sznur-

kiem. Rzeczy bardziej cenne owijam jeszcze dodatkowo grubym papierem i złączenia oklejам paskami papieru. Potem składam te paczki w zwykłej skrzynce z wiekiem i od sześciu lat, jak to robię, nigdy najmniejszej szkody nie miałam. Nie potrzebuję dodawać, że staranne wyczyszczenie jest i tutaj niezbędnym warunkiem powodzenia.

Duże zaś sztuki, jak suknie i okrycia, obszywam dość gęstym ścięciem w prześcieradła i wieszam w szafie tak utrzymanej, jak wzmiankowałam poprzednio. I wtedy ze spokojem mogę wyjechać na lato.

Doskonały jest „Flit“, lepszy od terpentyny, ale sam nie wystarcza. Ponieważ łatwo wietrzeje, więc na czas dłuższy zawsze potrzebna jest izolacja.

Najtrudniej pozbyć się tego niemiłego gościa w futrach, których gęsty włos pyszną jest kryjówką dla moli. Tutaj dużą pomocą staje się staranne wyczesanie pod włos zwykłym grzebieniem, umyślnie na to przeznaczonym.

Elektrolux też wyciąga zarodki.

Tak, jak w walce z muchami: głównym wrogiem, przeciw któremu ofensywa powinna być prowadzona, jest poczwarka. Ją tępić trzeba, a nie uganiać się od czasu do czasu za fruującym molem, którego godziny zwykle już są policzone.

\* \* \*

A teraz przejdziemy do królików.

W ostatnich czasach pewien hodowca, francuz, wynalazł nową odmianę królika. Dopomógł mu w tem przypadek.

Króliki, tak jak wiele innych zwierząt, mają sierść podwójną: na wierzchu włos długi i jedwabisty, a przy skórze—gęsty, krótki i puszysty.

Otóż ów hodowca znalazł wśród świeżego pokotu pewnej samicy jedną sztukę, pozbawioną długich włosów, a pokrytą tylko sierścią krótką i gęstą, barwy brunatnej, jak u bobra. W następnym wylęgu tejże samicy był drugi okaz podobny. A gdy oba młode połączono ze sobą, ich potomstwo wykazało te same dziedziczne cechy charakterystyczne.

Przez pięć lat łączył on celowo ze sobą te szczególne okazy i zawsze z dobrym skutkiem. I oto wytworzyła się nowa rasa, samorzutnie, bez sztucznego krzyżowania, drogą naturalną. Przedstawiona na wystawie rolniczej 1924 r., zwróciła ogólną uwagę hodowców i przyrodników. Dano jej nazwę—castorrex, czyli bóbr królewski.

Przy dalszych jednak badaniach zauważono, że castorrex wykazują pewne znamiona degeneracji. Są one zwykle rachityczne i tuberkuliczne; duży ich procent ginie, a samice często bywają nieplodne. Analizy krwi wykazały, że cała ta przemiana jest dziełem choroby, zaszczepionej im przez małe żyjątka, zwane trepomeny.

Zaczęto więc szukać sposobów na wzmocnienie castorrexa i w tym celu krzyżowano samców-castor-

rexów z samicami innych gatunków o sierści białej, szarej lub brązowej.

Zrodzone z tych krzyżowań samice, zdrowsze były i silniejsze, zachowały włos krótki i gęsty, lecz o zabarwieniu rozmaitem: białem, szarem—odpowiednio do ubarwienia drugiego rodzica.

W pracy jednak nie ustawano i przy dalszym krzyżowaniu otrzymano coraz więcej prawdziwych castorrexów, a nowe samice wydawały zdrowe potomstwo. Futra ich są tak piękne, że nie ustępują prawdziwym lutrom. Nie potrzeba ich barwić, co zmniejsza kosztą fabrykacji, a że nie mają wierzchniej sierści, którą trzeba wyrwać, więc skóra się nie osłabia.

Hodowcy mają nadzieję, że przy dalszych wysiłkach otrzymają doskonałe imitacje gronostai i szynszyli i to bez użycia sztucznych środków.

Nasi sąsiedzi z Zachodu wlot zrozumieli korzyści, jakie będzie można osiągnąć z nowego odkrycia i entuzjazmem rozbrzmiała ich prasa rolnicza.

Porobili we Francji znaczne zakupy królików tego typu, założyli Towarzystwo ich hodowli, a dzięki poważnym i systematycznym badaniom, ulepszyli znakomicie nową rasę.

Czyż nie warto, by i nasze gospodarstwa wiejskie zwróciły uwagę na tę produkcję, a nasze panie ziemianki zajęły się hodowlą castorrexów, przyczyniając się do rzucania większej ich ilości na rynki, co i dla własnej kieszeni korzystnym być może, że pomijam eksport i bilans handlowy?

Zatem — co mól zniszczy, to królik wytworzy i dlatego w jednym artykule zestawiałam ze sobą oba te stworzenia.

H. Michalecka



## ZUPA TRUSKAWKOWA

Pół kilo truskawek, oczyszczonych z ogonków, utrzeć drewnianą łyżką na misce na gładką masę. Litr wody zagotować z piętnastoma deka cukru, zaprawić niedużą łyżką kartoflanej mąki, rozbitej z paru łyżkami zimnej wody. Gorący płyn ten wylać na truskawki, wymieszać i postawić na chłód. Przed podaniem wlać do wazy kwaterkę gęstej, niezbyt kwaśnej śmietany, na to zupełnie zimnej zupy (kto chce, może włożyć do niej kawałek lodu) i podawać, bądź z oddzielnie ugotowanymi, przelanymi wodą i zupełnie wystudzonymi krajanymi kluseczkami z ćwierć kilo mąki i jednego jajka, bądź też z lekkimi biszkopciami, jakich się używa do czekolady.

## SZTUFADA

Tę, tak powszechnie znaną potrawę, którą, jak wiele innych, zawdzięczamy kuchni włoskiej, podaje na żądanie dwóch czytelniczek. Dwa kilo ładnego mięsa z tylnej ćwierci—może być zrazowa, krzyżowa, a nawet skrzydło, byle kawałek był krótko ucięty i nie dzielił się w środku, — zbić dobrze, skropić na noc octem, lub sokiem cytrynowym, położyć na wierzch listek, kilka ziarn pieprzu lub ziela, przykryć maseczką. Na dwie godziny przed obiadem naszpikować słoninką, najlepiej wędzoną, osolić, zrumienić ze wszystkich stron na maśle, szmalcu lub fryturze. Pokrajać drobno sporą marchew, także pietruszkę, kawał selera, cały por i ze dwie średnie cebule — niektórzy dodają jeszcze parę buraczków ćwikłowych, co nie jest konieczne. Wszystką włoszczyznę wysypać do garnka z pieczenią. Oprócz tego włożyć spory kawałek skórki od wędzonej słoninki, lub kawałeczek nietłustego wędzonego boczku i jeden lub dwa grzybki suszone, listek i kilka ziarn pieprzu. Dusić wolno, podlewając wodą. Gdy mięso zupełnie miękkie—taki kawałek dusi się zwykle około półtorej godziny—wyjąć pieczeń. Są dwa sposoby zaprawiania sosu do tej pieczeni. Albo, dusząc mięso, wkłada się kawałek podsitkowego chleba, który, rozgotowując się w sosie, nadaje mu gęstość; lub też dobrą łyżkę mąki należy rozmięszać z łyżką kwaśnej śmietany i paru łyżkami wody, wlać do sosu i raz zagotować. Tak, czy inaczej przyprawiony sos spróbować, czy dosyć ma soli, przefasować przez durszlak, zaprawić odrobiną pieprzu lub papryki. Pieczeń pokrajać w cienkie plastry, połać częścią sosu; resztę sosu podać w sosjerce. Najodpowiedniejszym garniturem do sztufady jest makaron włoski lub kartofelki smażone. Można też do sosu włożyć w sezonie parę całych pomidorów świeżych, zimą—dwie łyżki konserwy. Pomidory te, po zupełnym rozgotowaniu, przeciera się z resztą jarzyn.

## LIKIER W RODZAJU MARASKINO

Pół kilo białych czereśni zalać pół litrem spirytusu, szczelnie zakorkować gąsior i trzymać miesiąc na słońcu. Pół kilo białych malin zalać w innym gąsiorze pół litrem spirytusu i trzymać tydzień na słońcu. Czterdzieści deka cukru zagotować ze szklanką wody i dużą łyżką syropu kartoflanego, odstawić, włożyć łyżeczkę od kawy soli cytrynowej (kwasku)—robić to po zdjęciu z ognia, gdyż płyn z kwaskiem się burzy i mógłby wykipieć. Wlać w syrop niedużą łyżkę wody różanej i tyleż wody z kwiatu pomarańczowego. Nakoniec dodać scedzone obie nalewki: czereśniową i malinową. Zlać do butelek: powinny być z tego dwie normalne (od wina) butelki likieru. Używać dopiero po pół roku. Smaczny likier, bardzo przypominający Maraskino; nadaje się szczególnie do galaret, ponczu i kremów zamiast oryginalnego zagranicznego, od którego jest nieco ciemniejszy w kolorze.

Pani Elżbieta.

## DOBRE RADY

Aby zabezpieczyć konfitury od zepsucia, trzeba posypać je po wierzchu mieszaniną przygotowaną z 5-ciu części kwasu salicylowego i 95 części cukru. Przy zaczynaniu słoika trzeba przemieszać zawartość słoika, aby nie zdjąć wszystkiego kwasu.

Dobrze jest również rozpuścić pastylkę benzoesu w kieliszku spirytusu, maczać w tym płynie bibułkę i przykryć nią konfitury; można też zeszkrobać pastylkę drobno nożem, rozpuścić ten proszek w łyżce gorącego syropu i zmieszać z konfiturami. Ani kolor, ani smak nic na tem nie ucierpią, a benzoes zabezpieczy konfitury od pleśnienia i fermentowania. Używa się pastylkę na 2 litry soku lub konfitur.

## „ZIMNE NAPOJE“

SPOSÓB PRZYRZĄDZANIA KRUSZONÓW,  
LIMONJAD I RÓŻNYCH ZIMNYCH NAPOI

Cena 1 zł. 50 gr.  
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”. Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

LABORATORJUM  
HIGIENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisów Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Galaretka na łupież. „Mój krem” przeciw zmarszczkom „Mój puder”, Krem cytrynowy. Krem pomarańczowy. Galaretka na rozszerzenie porów i łojotok. Perekłki do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmrożeniom. Mydła cytrynowe, poziomkowe, liljowe i ziołowe. Róże higieniczne. Maski na twarz. Maść na pięci. Krem śmietankowy suchy. Krem orzechowy na opalenie się.

HIGIENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

Na prowincję wysyłka za zaliczeniem.

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu”—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.  
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW  
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.  
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.